

- *Każmierz, mus świat mieniać. Ale po swojemu. Czy my ciągle musim, jak nie po rusku, to po angijsku?" - tak kończą się Fotoczasy' Wojciecha Załęskiego. Ubrane w anegdotyczny komizm i karykaturalną propagandę polityczną towarzyszącą "pierwszemu sowietowi", z krasnoarmiejcem i jego mentalnością na pierwszym planie - ukazują, niczym kadry filmu, kolejne okresy wojennej gehenny: z "Czasem ładu i porządku" (po ruskich Niemiec zaczął nas strugać na swojo mode) i "Kolem czasu" (Znowusz... Szli od Cieliczanki i nieśli nam swoje narzędzia swobody - sierpa, młota i nagana), a nawet z "Czasami toczki", to o pierwszych latach ludowej ojczyzny. Zarejestrowane w młodej pamięci narratora, Każmierza, obrazki - zdarzenia nie pozbawiają ani jego, ani czytelnika radości, choć są jakże gorzką lekcją historii.*

Humor i niewyczerpane zapasy zdrowego rozsądku to antidotum na całe zło.

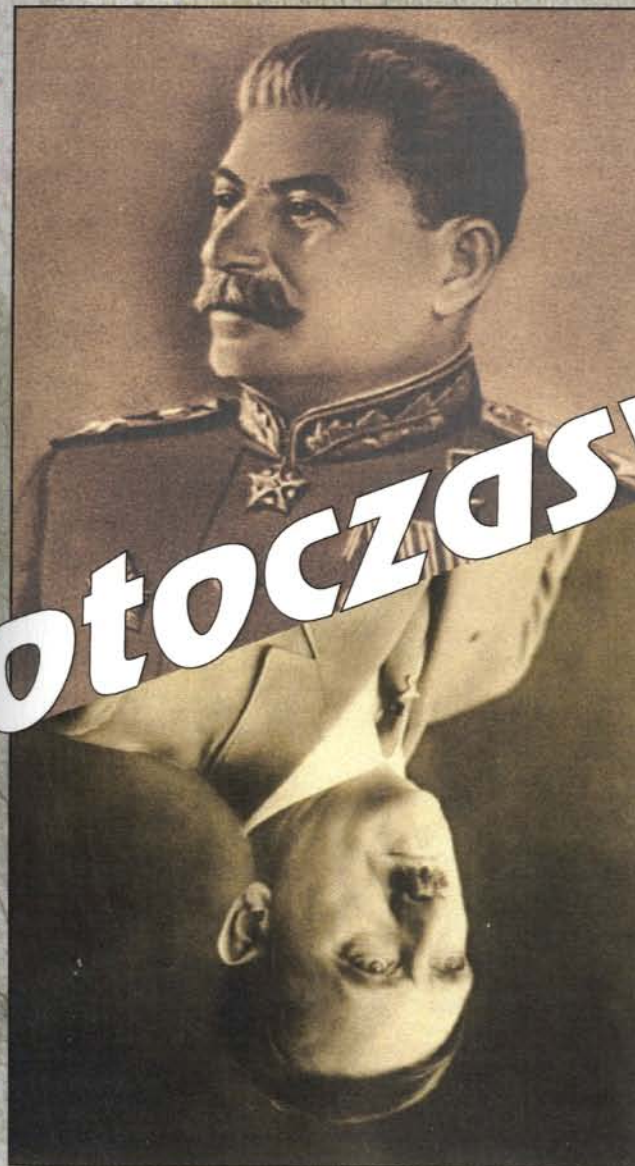
I tak, kadr po kadrze, powstał doskonały literacki dokument. *Wszystko to zdarzyło się naprawdę...* zapewnia Autor we wstępie książki napisanej ocaloną dla potomności, jędrną, supraską gwarą. A jeżeli trzeba ją niekiedy tłumaczyć "z supraskiego na nasze", wówczas kolejna książka W. Załęskiego o takim tytule przychodzi w sukurs.

Fotoczasy' bawią, ucząc. Uczą, bawiąc.

(Z recenzji Jana Leończuka)

ISBN 83-88097-77-6

Wojciech Załęski



Supraśl 2005





Fotoczasy'

SUPRAŚL 1939-1956

Wojciech Załęski

Fotoczasy

*Wydano dzięki pomocy finansowej
Urzędu Miasta i Gminy w Supraślu*

BIAŁYSTOK 2005
Książnica Podlaska
im. Łukasza Górnickiego w Białymstoku



Wszystko to zdarzyło się naprawdę, a opowiadane było tradycyjnie w trakcie imieninowych biesiad, przyjęć urodzinowych, spotkań po wykonanej pracy... i w ogóle bez okazji... ot, jesiennym wieczorem przy herbacie, w oknie kuchni oświetlonej blaskiem ulicznej latarni. Ja tylko pozwoliłem sobie to wszystko powiązać postacią Kazmierza, który jest każdym z nich... każdym moim sąsiadem z ulicy Cegielnianej... niegdyś zwanej Garncarską,

Im też, którzy w pokorze albo pełni buntu odeszli już do Pana, pozostawiając nam w testamencie Supraśl wraz z jego historią, to co pamięcią i zapisem utrwaliłem, poświęcam.

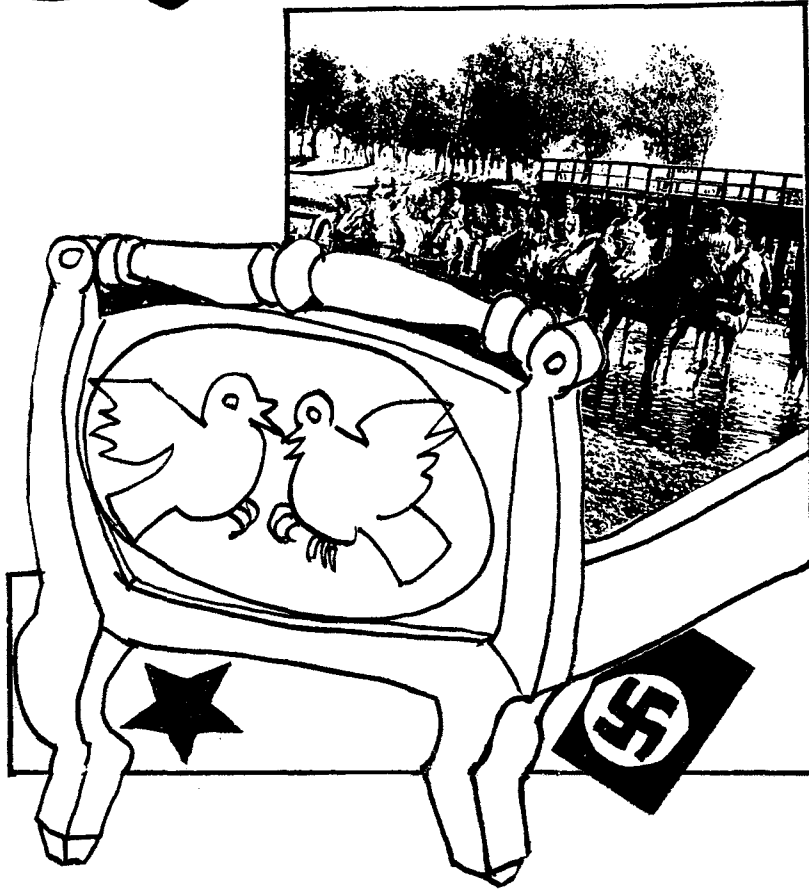
Pokój Wam i serdeczne Bóg zapłać...

Jedno tylko białostockie wydarzenie „Pus't' gieroj wisit” pozwoliłem sobie wpleść pomiędzy supraskie wątki, bo ciekawe i żal byłby wielki, gdyby się w ludzkiej pamięci zatatarzyło.

Wojciech Załęski

Szczęściem się ojciec nie obuwał

39



Gdzieś piąta rano była... samo najlepszy sen. Budzi nas tatko i zamiast jak zawsze wołać - wstawać basałyki - szarpie za koszulę i mówi cichjutko, całkiem jak nie tatko - wojna dzieci, wstawajcie... wojna na świecie.

Siąd ja na łóżku, oczy jeszcze fest zapluszczzone, snem zarosłe, ledwo rozтворzyć się dajo. Wojna... no i co, że wojna?

- Jaka tatku wojna? - pyta się zaspiany braciuk Henio.

- Niemce Polskę napadły!

- Jake Niemce? Hake i Schwember... a może Kaufmany?

Dopieroż ja kopnął się w łeb... stało się to, co się miało stać... a o czym stare ciągle gadali. Odraz mnie do głowy przyszło, że może lekcji dziś nie będzie...

- Tatku, to do szkoły nie pójdziem?

- Słyszała Hela? O żesz bajstruk cholerny! Widzi sama, jakiego hada na piersi wylulała? Niemce Polskę napadły, a jemu tylko w głowie, jak się do szkoły zadkiem wykręcić!

Jak nie laśnie mnie przez łeb kamizelko, co ja samo z krzesła zdjął zakładać. Żnik ja pod pierzyno, leże i myślę sobie:

- Ot, mnie wielka sprawa... wojna. Pojado... jak wujo Zdzicho w przeszłym roku na maniobry, raz dwa Schwabom knoty spuszczo i do tygodnia się wróco.

Wyglądnoł ja spod pierzyny i nieśpiesznie spojrzął po pokoju. Nikogo.

- Chwała Bogu, ojca też nie widać. Sprawiedliwie mówiąć, tatko to najlepszy człowiek pod słońkiem, ale u jego trudna natura i jak zły albo wypity, to lepiej pod ręce nie leżć.

Zmówił ja modlitwy wszystkie, jakie znał i pilnował się, żeb słów nie mylać, a żeb pacierz jak najbardziej solidny był, dodał od siebie:

Niech Panie Boże Niemce ręce i nogi połamio i żeb ich lichorotka trzęsła i żeb ich... i żeb ich... i żeb ich... - zaykał sie ja tak, że więc nic mnie do głowy na Niemców przyjsć nie chciało - i... tak mnie dopomóż Panie Boże, który wiesz najlepiej, co sie komu należy - zakończył. - Aha... I niechaj nasze ulany im eleganckie knoty spuszczo... niechaj wuj Zdzicho i kierownik szkoły Marecki wróco sie z wojny... Amen.

No... grubym słowem powiedzieć mog by, ale czy do pacierza sie godzi? I temu sie szkopom u Pana Boga upiokło.

Ale słysze, jak po drugiej stronie łóżka braciuk Henio swemu aniołu strózu za mnie dziękuje: *Aniole Boży strózu mój, dziękuje tobie, że Kaźmierza ustrzeg... że wojna sie zaczęła jak tatko kamizelke kładli, a nie kiedy kamaszy obuwał. Amen.*

Miętko sie mnie w dołku zrobiło, zakuzytało w piersiach. Oczy trochu spotnieli. Dobre serce ma szczun jeden.

Nikt z łóżka nie pędza, musi o nas zapomnieli. - I dobrze... poleże jeszcze trochu - pomyślał ja i nazad skrył sie pod pierzyno.

A pod pierzyno ciepło i bezpiecznie. - Wojna... to to samo co wejść komu do chaty nieproszonym, mebli poprzestawiać i przy żonce gospodarzu po mordzie nałożyć.

Ale żeb znać, jak ze szkoła bedzie? Musi pare dni zejdzie, pokąd do jej pójdziem. Kierownika Mareckiego wzieli, bo oficer. Już tydzień do szkoły w mundurze chodził. Wujka Zdzicha, Kuryłowicza, Oziabłe, Małowicza i innych chłopów pobrali.

Ciekawo, czy Szwembera wezmo? On żesz Niemiec. To jak? Z jednej strony... uczył nas w szkole śpiewać „*nie bedzie Niemiec pluł nam w twarz*”, a z drugiej... czy bedzie lał kuzynów szczerze?

O... abo Lutek... on żesz hitlerjugen, a Zyga, jego brat... no, Zygfryd... zajadły harcerz. Zare, zare... zdaje sie, po

Szwembera policjanty byli i po innych Niemców też. Ale sie ponarabiało.

Jakiej cholery sie wszystkie do nas pro?

Z kuchni doszed mnie zapach kawy ENRYLLO z mlekiem i głos radia. Trza na podwórek isć, nie ma co w piarnatach gnić. Wskoczył ja migiem z łóżka, ubrał sie. Utknoł łeb w drzwi... ni żywego ducha. Spójrzał do kuchni... pusto. Nawet matuli koło plity nie ma? A radio... jebonitowy Telefunken wstawił ojciec w okno paradnego pokoja i gada na ulice. Za oknem ludzi gromada. Zeszli sie jak na wiec, stojo za parkanem i słuchajo, bo w tym końcu ulicy tylko my radio mieli.

Nie dziwo, w tako chwile każdy chce znać co i jak. Samo akurat radio przestało gadać i orkiestra zagrała marsza. Od tego grania robiło sie w człowieku tak jakość, jakby kto jego nadmuchał i jak balona ciągnął do góry. Chciało sie gdzie isć, lecieć, robić coś... Tylko nikt nie wiedział, co? Sąsiady łypy zwiesili i stojo jak na mogiłkach. Czego sie tak martwio? Dwie niedzieli i „po Zygumencie”...

Kiedyś Zygmunt Kalisz, sąsiad z naszej ulicy, wyprawił, jak sie potem śmieli, „imieniny galopne”. Dał tako gorzałke, że pokąd ostatnie gości z życzeniami przyszli, piersze już byli snopy gotowe... i po Zygumencie.

Dostał ja z etażerki mape Polski, rozłożył na stole. Eeeeeee, trochu daleko. Musi nasze tak szybko ze Szwabami sie nie sprawio. Dłużej to bedzie. Do Berlina dojść to nie to, co Tatarskim Gościńcem do Krynek sie dostać albo do Świętej Wody na odpust isć.

A mnie po głowie chodzi - jakiej cholery wszystkie sie tak do nas pro? Czy tu miód, czy taka Kanada jaka, czy takie dobro naobkoło leży, żeb tak leżć? Ani robota tu czeka, ani sie pieniądze po ulicy walajo.

Pare dni nazad w kinie u Gwoździeja pokazywali niemieckie wojsko... Trochu strach mnie wzięło. Za wiele ich. Supraskie Niemce co i raz do kina latały to potęgę patrzeć... A jak my z braciukiem z kina wyszli, Henio rozumaka zmartwił się - skąd się nabożów nastarczy, żeby ich wystrzelać?... A wiele trzewików trzeba zrobić, żeby wszystkich obuć? Wiele sznurów wadę, żeby buty wiązać. A karabiny, a bagneta, a manierki, a saperki, a maski gazowe? Szczun ma rację. Choć przed wakacje na zbiórke w szkole dał ja całe pięć złotych na karabin maszynowy dla 10 pułku ułanów litewskich.

Na mieście przez te dni niewiele się zmieniło. W pałacu Bucholca urzędował oficer od mobilizacji z 42. białostockiego p.p. i kilku żołnierzy, między nimi i nasz sąsiad z Cegielnianej.

W Supraślu cała młodzież, małe i duże, chłopcy i dziewczyny od rana okopy kopio. Szczeliny takie, żeby od samolotów ochronić się. Ja też na rękach sobie niekiepskich mozoli namolił.

Jak wuj Srajdka bardzo ważno placówkę wojskowo rzemykiem rozegnął

Na moście supraskie harcerzy warte pełnio. A ważne, a srogie... Idzie kto przez most... a kto by nie sied, zatrzymają i każo dokumenta okazywać. Zza rzeki, pod dobro dato, wracają ze Studzianek do żony stary Malienda. Ponapiwany jak stodoła sied i śpiewał na całe gardło:

*A studzianskie chłopcy hej
Wysoko się noszą hej
Jak pójdą do wojska ciu la, la, la
Żydziam wodę noszą usia usia sia*

*Za trzydzieści groszy hej
Za połowę chałki hej
Sto dwadzieścia wiader ciu la, la, la
Za kruczek gorzałki usia usia sia.*

Samo w ta pora służba na moście wypadła Srajdku, Maliendy siostrzeńcu. Zatrzymał nabuzowanego wuja i każo sobie okazać dokumenta:

- Proszę okazać mi dokumenta!

- Ooooo, Heniutek! - ucieszył się wuj - Srajdku kochany... to ty? Ty, wyskrobku mojej biednej siostruni?

- Ja tu wuju nie Heniutek. Ja tu służbę mam! Dokumenta proszę okazać.

- Ja? Ja tobie, siurku, dokumenta? Jake dokumenta?

- Wartowniku na placówce należy się okazać dowód osobisty albo inny dokument z fotką.

- Z czym? Z fotką? To ty szuragańcu wuja nie poznajesz?

- Wuj nie wuj, dokumenta proszę mi okazać.

- O żesz francowata cholero, wypierdku mamuta... tylko co się cycka Heli puścił... już paska pod brode i władza! Do wuja? Dokumenta okazać?! Taki ty tera ważny, obesrańcu? Tera ty władza? No, dam ja tobie władzę, francuska zarazo, fotkę! Dam ja tobie takie dokumenta, że pokąd życia na żaden drukowany papier nie spojrzysz! Nawet na gazetę!

Dostaje wuj z portek rzemyka i bierze się Srajdku skórę łożożyć.

No to Srajdek chodu... Wuj za im. Jedno garścio rozporka trzymie... bo to normalna rzecz, że portki bez rzemyka z zadka spadają, drugo ręką „sprawiedliwość” jak lassem nad głową wiatraka kręci. Leco oba cwaj drogo od mosta pod górę do klasztoru.

Wuj ryczy jak wiosenny jelen złości, że szczyła dognać

nie poradzi. Srajdek wiszczy ze strachu, jakby jego czerci ze skóry łupili. Nad głowo bombowce niemieckie na Białystok leco, wuju na kolana portki spadajo, tylko białym tyłkiem błyska. Na to ohyde baby odwracajo oczy i spluwajo z obrzydzeniem.

Takim sposobem wuj Srajdka, stara maczała, bardzo ważno, wojenno placówkę w Supraślu rozegnał.

Pokąd życia w mojej pamięci jechać będą

Pod piętnastego, południem, samo w największy żar, przez Supraśl konnica ciągnęła. Pokąd życia będą w mojej pamięci jechać. Twarze ułanów czerwone jak wyłogi na ich kołnierzach. Bo żesz upał był... czysto żywy żar sie z nieba lał. Chłopcy takie umordowane, takie ubite szli, że nie daj Panie Boże. Co który w bandażu, kiwa sie w siodle pod koński chód i drzemie. Tylko podkowy gęsto laskajo po bruku 3. Maja. Na Cieliczańskiej ludzie wynoszo im co kto mog, co kto miał i co jemu pod ręce popadło. Kisielicha rosół gotowała, złapała lecieć z im do żołnierzy. Z garszczka jak do ataku na wroga dwie pietusze łapy sterczo pazurami do przodu... Mąż jo przestąpił:

- Zdurniała... gdzie z tym gorącym? Chce, żeb który łypy poparzył? A dogotowała choć?! Mleka im chłodnego daj. Zare bańke ze studni dostane. Zimne żesz dla ich potrzebne.

Pod Czerwonym Krzyżem, gdzie pobite powstańcy leżą, zsiądli nogi rozprostować. Na koniach piana, szum i pot mieszała sie z kurzem.

A oni byle aby do cienia. I pić, pić prosili sie. Odsapneli trochu pod lipami. Niektóre porobili ze skrzypu kłocze i wycierali spotniałe końskie boki. W powietrzu słycać koniowym potem, szczochami i pokostem z nowych rzemieni.



Kto żyw wychodził przed chate. Kobiety pytają o swoich, czy nie spotkali takiego a takiego. Zdjęcia wynoszą, pokazują. Te pochyliły się z siodła, popatrzyły i kręcąc głową – nie, nie widzieli.

Ostaszanka samo świeżego chleba napiekła. Wyniosła na ulicę, kraja grube glonki, rozdaje żołnierzom. Starsza od jej siostra mleka z łądźki nalewa i pyta się takiego młodego, co dopiero wąsy jemu puścili się:

- Dokąd idą, chłopcy? Co z nami będzie... synku? Na rany Chrystusa... co z nami stanie się?

Jak dziś pamiętam... trzy belki u jego na pagonach byli i białe rękawiczki utknięte za pasek. Schylił się z kulbaki, oddał kubka kobiecie. Obtar mleko z ust wierzchem dłoni. Założył hełm, popatrzył na ją smutno i zaciągając pod brodo trochę powiedział:

- A co ma być? Gdzie nie powrócimy się, wszędzie wrogami... to gdzie nam iść? Przed siebie matka pójdziem, przed siebie.

Po chwili dodał: - Pokąd noga w strzemię, jeszcze powalczym. Da Bóg, do nieba trafim.

Płakać, płakać, płakać mnie się chciało

Uwiązany lejcamy do żerdzi stał koń raniony w zad. Ułan, młodziak, rane opatrywał i płakał. Żywina cierpiała i ani drygnęła. Mnie się tak żal zrobiło konia i ułana... i łzy mnie ciurkiem popłynęły, że ze wstydu do lasu uciek i wypłakał w choinkach.

A oni odpoczęli i w drogę na Cieliczanke. Szli i szli... tylko kurz się w górę nad chwojki podnios... do nieba... Jeszcze w głębi lasu żelazo o żelazo zadzwieńczyło, gdzieś tam koń mocniej tapnoł, szabla brząkała i cisza zrobiła się...

Jakby nie ludzi a duchy przeszli mimo, aż znikli w złotych obłokach między aniołami. Odchodziło to, co ja kochał,

w co wierzył i ufał. Zostali my się całkiem same.

No, taki żal mnie wziął i taki strach piersi ścisnął... że poleciał do stodoły, w siano wbiczkował się i do ciemna przeleżał.

I matuli widać ciężko było, bo o mnie ze wszystkim zapomniała i nie wołała na kolacje. Tylko Henio musi trochę za mną zatęsknił... wyszedł na podwórek i rozdarł japo.

- Kaaaażmieeeeerz!

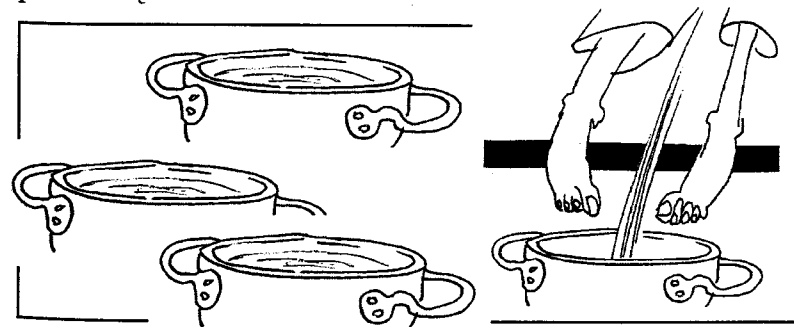
Odrąz mnie różniej zrobiło się, że jeszcze ja komu do czego potrzebny.

Na jutro harcerzy i trochę starszej młodzieży gdzieś znikli. Kobiety latały po ulicy od chaty do chaty i pytały jedna drugą - co z imi? Zaglądały po sionkach, spizarniach...

- Aha... pobrali dobre buty, trochę jedzenia i poszli za wojskiem. My też by poszli, ale kto wiedział, gdzie iść i komu takie siurki i na co potrzebne?

Słodka zemsta słabego

Wieczorem na łeb zwała się nowa zła wiadomość. Tato wrócił z Supraśla, siad ciężko na zydelku pod plito i powiedział do mamy - Helcia, z Polsko koniec. Zginota. Ruskie noże nam w plecy wsunęli. Tera Backieli, Wałodźki, Sierożki z Sorozkowa i cała czerwona swołocz z okolicy będzie w Supraślu rządziła.



W fabrykach robota stanęła. Supraskie Niemcy, dotąd pokorne, zhardzieli. Przestali znajomych odwiedzać, młode starszym sąsiadom przestali się kłaniać. Żydzi siedzą po chałupach, że ich na ulicy nie uświadczysz. Tylko ruskie i komuniści, co ich tu pare było, z wioskowymi banują, pokazują swoję radość. Nie wiedzieli, durni, co im sowiety szykują.

Pokąd nastali ruskie... pierwszo pokazali się Niemce. Spasione, zdrowe byki... weszli na podwórko jak do siebie. Kazali mamie wodę grzać, wynieść miskę i ręczniki pod letnią kuchnię. Zdjęli mundury, wystawili białe kałduny do słonka i na wodę czekają.

Przeszło mało wiele czasu, wnosi mama z kuchni wiadro z gorącą wodą. Za nią idzie szwab, że dwa razy jak ona, ale wiadra od niej nie bierze, tylko jeszcze popycha. Drugi mamy się nie wstydy, wyjął ordera i szczy na wkiel. Mnie aż zaparło w środku. Kułaki się zacisnęli... ale co zrobisz?

Na podwórku jak na jarmarku, Niemce się golo, myją, rechoczą... Patrzą się, a za płotem braciuk rechocze... że śmiechu prawie po ziemi się kacza. Zaszedł jego od tyłu i laśś... w łysy głaz. Henio podskoczył, oglądnoł i dalej zęby suszy. Śmieje się jak jakiś dumny.

Czego się reże?

Patrzą ja na jego, patrzą się... Kurcze blade, może jemu mózgi się pomieszali? Tu wojna, chata pełna bieżanców, Niemcy na podwórku się rządzą i jeszcze na dokładkę brat dumny stał się. Przestraszył się ja nie na żarty.

- Kaźmierz, Niemce się myją... - Henio nie mog skończyć przez łzy i śmiech. - Niemce się...

- I to tobie śmiech, że się myją? Jest czego zęby suszyć? Od tego czyste są i wszy ich nie rypio, durniu jeden!

- Oni się Kaźmierz myją w moich szczo... szczo... szczo- chach - wystękał wreszcie Henio. - Jak mama z kuchni wy-

szła, to ja się do ich garszczka z wodą wyszczał. Tera drugi na płacie stoi, idź naszczy i ty, bo u mnie już sików nie ma.

- Ty durniu! Szczaleś do naszego garszczka!? Jutro w im matka kapuste gotować będzie! I na czym? Na twoich szczo- chach, mendzielcu! Idź zare jej powiedz co zrobił i niech dobrze wymyje, bo sam cię tu wyłostoże.

- Kaźmierz - Henio rency jak do modlitwy złożył - Kaźmierz, ja jego na jutro cegło elegancko wypucuje, tylko jej nie mów.

Tym mnie wzięło. Mama i bez nas ma kłopotów dostatek, czego jej zmartwienia pomnażać. Na jutro przez pół dnia Henio tak uczciwie garszczka pucował, aż matula zaczęła coś podejrzewać i spytała:

- Heniutek, a co ty tak do tego garszczka przypioł się? Dziure w im wygłancujesz. Może znowuż zmajstrował co, że taki robotny zrobił się?

- Już tam co zrobił... Niemce się z jego myli, to dla mnie on tera jakiś hadki zda się.

Pół życia to porządek...

Na jutro te eleganckie Niemce, co się w Heniutka szczo- chach pomyli, zaczęli łązić po mieście i brać rzeczy po żyd- skich sklepach, a i po mieszkaniach plądrować.

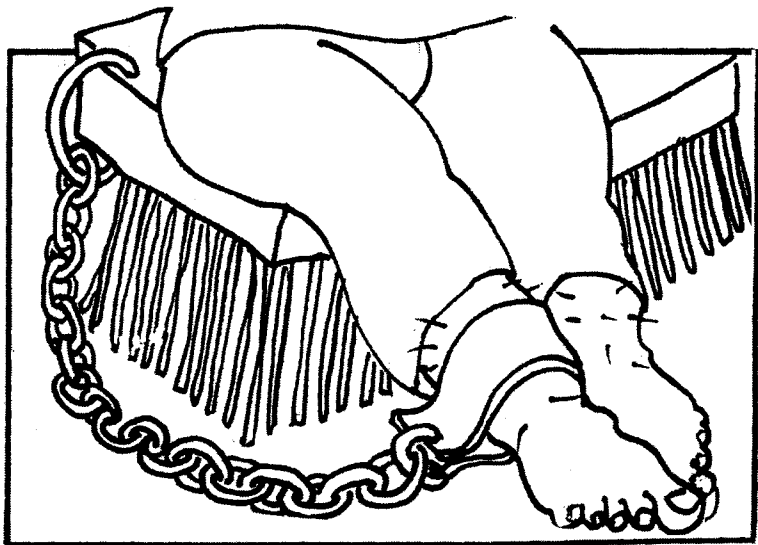
Zegnali supraskich Żydów do fabryki i ładowali z maga- zynów na samochody materiały, przedzie i towary ze sklepów.

Supraskie Niemcy, co po wygranej Hitlera głowy podnie- śli, nazad je opuściły... bo jak się złodziejami chlubić.

Dwa tygodnie te nadczołwieki grasowały w mieście. Po- tem naszych, supraskich, Niemców załadowali na samochody i powieźli na hajmat. Niektórym dali mieszkania po Żydach w Łodzi.

Przez trochę czasu jeszcze listy pisali. Biednego Zyge, choć polski harcerz, wzięli do niemieckiego wojska i zabili w Jugosławii, a jego braciuka Lutka we Francji. Szkoda Zygi, fajny chłopak był.

Nie wiedzieć czego przyszedł mnie na pamięć jego ojciec, jak mówił do Zygi: *Chłopie, pół życie to obowiązek, a druga pół porządek*. Przeżył niemiecki obowiązek, no porządku niemieckiego nie przeżył.



Rośli obok nas

Tylko Niemcy znikli z Supraśla, odraz wyleźli sowieckie *prydupniki*, ponakładali *krasne lienty* i weszli do miasta nowo władze zaprezentować. Poszli na posterunek, ale tam nie było

na kim sprawiedliwość społeczno zaspokoić. Wychodząc zobaczyli godło na ścianie. Zerwali orła i dalej po im obcasami skakać. A że to sanacyjna robota, solidna emalia na blasie, nie dała się pobić. Jeden poszedł, z chaty przyniosł młotka i zaczął tłuc.

A stał z nami starszy trochę chłopak, Józek Ulman, harcerz. Nie mogł tego znieść, podeszedł do ich, zaczął pytać, zagadywać i butem wepchał orzełka pod schody wierandy. Ale parszywiec spostrzegł się, przystawił Ulmanu obrzyn pod żebra...

- *Ot hladzicie chłopcy jakaja palacka morda... jebu jeho mat' ! Siejczas my z jebancom razczytajem sia! Ubijom hada! Dawajt'e sukinsyna u les!*

I poprowadzili Józka Cieliczansko ulicę w stronę Czerwonego Krzyża. Ido, a co i raz który jego kolbo karabina po żebrach pomaca albo kopa da. Wyklinają, krzyczą, co z im zrobio.

Po drodze mieszkała Żydówka, na ją wołali „Gruba Itka”. Miała strasznie słoniowate nogi i no nie do wytrzymania była jazgotliwa... wielki kawał baby. Jak ich zobaczyła, wytoczyła się na środek ulicy i rozdarła na cało okolice.

- Ludzie wychodźta! Wszystkie wychodźta patrzeć!

Ze wszystkich chałup powylatali sąsiady, tłum się zaczął zbierać, a Itka kacapów przestąpiła i ruga.

- Nu, ludzie... paczta sie... sądny dzień nastał! Koniec światu nadchodzi! Chłopaka przy białym dniu prowadzo mordować!

Jednego pchnęła w pierś, że czapka jemu pokociła się na pół ulicy... drugiego schwyciła za obrzyn i szarpie im. Obrzyn wystrzelił. Z komina poderwali się kawki. Itka klapnęła na gruby zad, prosto w nasturcji. Kacap rozciągnął się jak długi pośrodku ulicy. I dobrze trafił... w kupe świeżego końskiego łajna. Obrzyn leży i dymi. Końskie łajno też dymi.

Ziutek zanurkował przez płot w ogródki i zwiął do lasa. Tym sposobem uratował głowę.

A te hady spietrali sie, bo Itki chłop to znany białostocki działacz Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, co na wiecach przemawiał i trzy lat w więzieniu sanacyjnym bzycał.

A tera nadeszed ich czas... czas komunistów, chłopca Itki... ale nie Białorusów.

Skąd ta miłość do Moskwy

Bojownicy o wolność *Zapadnoj Bielarusi* położyli uszy po sobie i poszli „rewolucyjny gniew” spędzić w Saskim Ogrodzie. Tam młotkiem pobili orła na pomniku legionistów i rozwalili kamienno tablice z nazwiskami tych, co zgineli w walkach z bolszewikami. Jeden had miał na tej tablicy wpisanego ojca, którego bolszewicy pod Lwowem wzięli do niewoli i okrutnie zamęczyli. Powiesili nad ogniskiem głowo w dół.

Skąd sie w ludziach bierze ta ochota... potrzeba służenia кату. Może z tęsknoty za czymś, na co się długo czeka... tak długo, aż już nikt nie pamięta, na co.

Bida z nędzo z Moskwy pędzo

Ruskie szli w taki sam gorąc jak nasze chłopcy, ale z przeciwnej strony, od Cieliczanki, od Baranowickiego Traktu. Szli w mundurach rozmaitych, prawie białych od słońka, w czubaryckich szłykach i z karabinami na sznurkach. Jak mówił dziadek: *Za jedno ruskiemu stoi wintowka i wierowka*. Długie bagnety na karabinach błyskali sie w żółtym tumanie. Szli zakurzone, szare jak ziemia i czerwone na gębach jak ich

wielkie gwiazdy na czapkach.

Na rogu Nowego Światu i Cieliczańskiej ta sama Ostaszanka, co ułanom chleba napiokła, stała w drzwiach i wyglądała ciekawo na ulice. Zatrzymał sie przed jo jeden czubaryk, prosi sie:

- *Mamasza daj szto nibudź pakuszat', a to jej Bohu ni dajdu.*

- A gdzie ty chcesz dojść?

- *Nie znaju. Mnie wiedut'.*

- Jak tak? Nie znajesz? - zdziwiła sie Ostaszanka. - Każda ptaszka... o - pokazała lecącego nad imi bociana - nawet ona wie, gdzie i po co leci. A ty żesz człowiek i ciebie wiedut'?

- *Naczalstwo łutsze znajet. Nam skazaili szto zautra z Giermancem pajdziom na Pariz.*

Wyniosła biedaku całego bochenka. Jej sie naraz przydało, że bolszewik to człowiek... a on jo za trzy miesiące, w największy mróz, aresztował, wsadził z dzieciami do odkrytego auta i zawioz na dworzec w Białymstoku. A stamtąd droga była jedyna... na czubek świata.

- Na, masz - dała Ostaszanka bolszewiku całego bochenka. - Tylko mnie nie mamaszaj. U was gdzie chatka tam matka, gdzie staronka tam żonka.

- *Spasibo ciebie chazajka. Kak wierniomsia iz Pariza... jej Bohu francuskie duchi tiebie prywiezu.*

- W takich butach do Paryża chcesz zajść? - Ostaszanka pokazała na jego lewy, mocno rozdziawiony trep. Ruski sie nie speszył, tylko ręko machnoł na zachód.

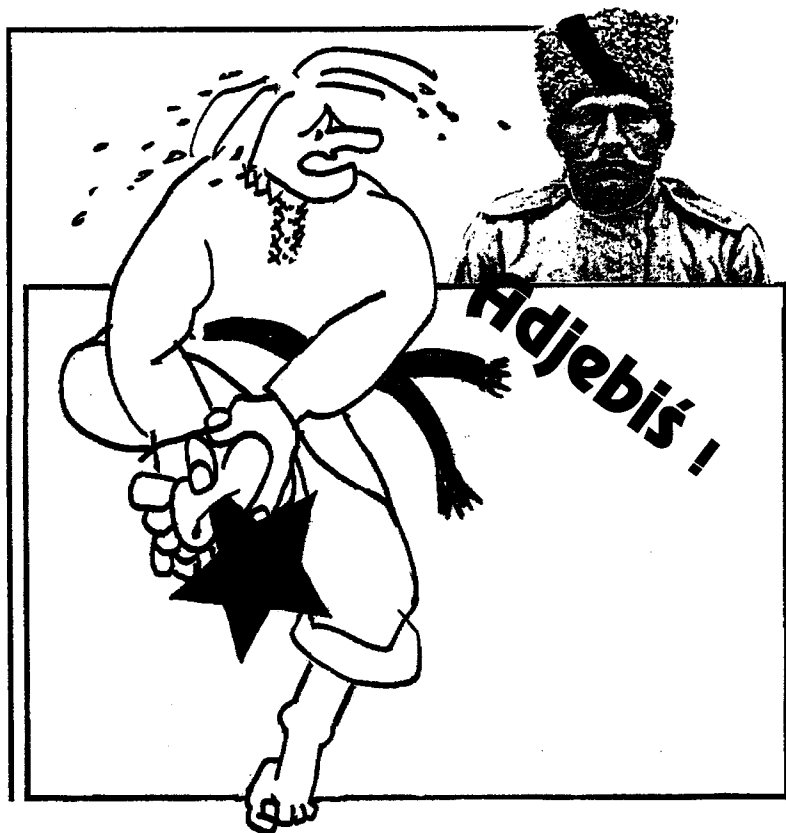
- *Mamasza tam w Parize sapog mnoga i dla mienie najdiom. A waszy soldaty? Łutszyje sapogi imieli i czto, w nasz plien w ich zaszli?*

Szed ja za im aż do pałacu Bucholca i jak niedziela sercu miła, pokąd żyw, takiego cudaka nie oglądał. Jak on tego bochenka żar... Pokąd na rynek doszed, z chleba ni kruszynka

nie został się... całego bochenka wtrynął.

W rynku każdy siad jak stał i gdzie mog. Naraz Supraśl szary stał się. Tak musi wyglądał Egipt, jak Pan Bóg na faraona plagę szarańczy spuścił.

Boże mój... w ten czas my poznali, że jak było, tak już nigdy nie będzie. I pojął ją to, co dziadko mówili o bolszewikach z dziewiętnastego roku: Dożyli się Polaki ni chleba ni tabaki. Doświadczyli my tego niezadługo na sobie. Oj, doświadczyli.



I doczekali się tęsknotę spędzić

Ale prawdziwa szarańcza dopiero pod wieczór nadeszła od Krynek Tatarskim Gościńcem. Płynęło to szeroko jak wiosenna woda wylewającej się z brzegów Supraślanki.

Te, to widać trochę lepsze pany, bo jednakowo odziane, ale karabiny jak u tych pierwszych... na *wirowkach*.

Śmieszne i niegroźne zdali się nam te cudaki. Zare rozleźli się przed klasztorem po całym zachertowym polu z pastewno marchwio i wyzarli wszystko do jednego kalifka, do ostatniego ogonka. Jak po szarańczy, nic zielonego nie zostało się... szara ziemia, ubity, twardy jak klepisko tok.

Jak wjeżdżać do Supraśla, zare koło bramy klasztoru, nasze supraskie Rusiny brame zrobili... powitalno. Nad drogę rozpieli czerwonego transparenta ozdobionego choinko i kwiatami, na którym syn popa wypisał powitalne:

DA ZDRASTWUJET KRASNAJA ARMIA

Te z Ogrodniczek lepiej się postarali. Na mostku ustawili tablice, na której od strony Supraśla po rusku witali Ruskich, a od Białegostoku, po niemiecku, dziękowali Niemcom za oswobodzenie:

ZAPADNOJ BIELARUSI OD POLSKICH PANOU

Backiel z jedno tako z Łazien i drugimi wyszli witać bolszewików chlebem i solo. Z klombów Zacherta na to okazje wyróżnęli wszystkie kwiaty. Staneli i czekajo pod to swojo piękno bramo.

Aż pokazali się zza zakręta pierwsze czubaryki. Witalniki poprawili na sobie odzież i ile ducha w piersiach zaczęli śpiewać „internacjonal”. A witane, wytęsknione obszarpańcy, nic... Nic nie widzo, nie słyszjo, tylko jak zajęcy to pastewno marchwie łomoczjo. Witalnikom durno zrobiło się to nędze oglądać i stać niczem przyglup na weselu pod oknem. No to się wzięli i poszli.

Było przed wojno... że niektórzy byle robote w fabryce robił, a rodzina jego żyła po majstersku. Niczego im nie brakło nawet w czas kryzysu. Skąd pieniędzy brali? Moskwa słała. Za to schodzili się po lasach, niby na majówki po Łażniach, Surazkowach, Nowosiólkach, Ogrodnickach i sobie wzajem w uszy o sowieckim rajy kładli.

Dzięki temu supraskie dowiadywali się przed wojno, że nie na Podlasiu, a w *Zapadnoij Bielarusi* żyjo... i to gościem będąc.

Za pare dni, te same żołdaty za popem, ojcem Wałodźki, jak rowerykiem do cerkwi na Podsupraśl jechał, końskimi bułkami rzucali. Ryczeli ze śmiechu, kiedy się popu koński gówniak na plecach rozbrzygał i krzyczeli: - *Uraaa, popa ucelił!*

Kawaleryjska fantazja lejtnanta Zubina

Na koniec jechała konnica i tabory. Ach, Bożeńku ty mój, jaka mizerota. Te ich syberyjskie koniki jak kozy małe, machrawe, skudłacone. Pikusia bude śmiało można dla ich na stajnie zająć.

Oj naobglądał się ja ich, bo u nas na kwaterze stali. Jak zdjęli ze zwierzyny oporządzenie... tam ukazali się rany... obtarcia do żywego mięsa.

Stary Klimowicz, jeszcze marszałka kawalerzysty, on do koni aż się trząs. Jak to koniaczo krzywde zobaczył, szlag jego trafił.

- Takiemu sukinsynu pięćdziesiąt bizunów na goły zad dać, to za mało! Do pługą bydłaka założyć, żeb trochu za konia pociągał!

Tak się wściek, że jemu rozum odjęło i poleciał do dowódcy, co po sąsiedzku na kwaterze stał... lejtnanta Zubkina.

Strażnik nie puszcza... bagneta nastawił.

- *Stoj! Kuda? Stoj! Nie nada!*

Ale co Klimowiczu taka mizerota?

- Wooooon mnie z drogi łachudro! - rozdar się na cały podwórek... i w gębę bierze się walić żołnierza! Sowiet przepuścił. Stary jak burza wleciał do kuchni i... już całkiem spokojnie spytał kamandira:

- To twoi ludzie? - pokazał palcem za okno.

- *Da, mai.*

- Widział, jak skurczybyki koni pomarnowali? Jak tak żywine męczyć? Na koniach rany jak moja pięść! - Klimowicz podsunął kułaka wielkiego jak bochenek pod nos Zubkina.

Zubkin spójrzył na ta pięść, a spod oka na podwórek pełen żołdatów. Widok ten jego musi uspokoił, bo kułaka Klimowiczu palcem na bok odsunął i spytał:

- *A ty kto? Wracz? Dochter?*

- Nie. Gospodarz.

- *Aha. Gaspadin. To i łoszadi imiejesz?*

- Dwa.

- *Dwa gawarisz? Dawaj pasmotrim kakoj ty gaspadin.*

Zubkin założył czapkę, zawadiackiego pukla spod kozerka wyciągnął i pokazał ręką na drzwi.

- *Paszli!*

Klimowicz prowadzi na swój podwórek i ido do stajni. A koni u jego fest, sokólskiej rasy, w rodzinie spicalnie dla wojska od zawsze hodowane. W sierpniu jego brat w Sokółce zdał dwa dwulatki do białostockiego pułku artylerii.

Jak się wojna zaczęła i minął jaki tydzień, Grodzieńsko ulico na Szudziałowo pędzi artyleria. Leco bateria za baterio, bateria za baterio. Naraz jeden zaprzęg skręca na podwórek Klimowiczów. Woźnica nogami się zapar i nie da rady lejcami kierować, koni pro w otwarto brame, na podwórek i wryli

sie w ziemie. Stoją. Tylko para z ich się kotłuje jak w garszczku na plecach. A po oczach widać, że ucieszone i na nagrodę czekają.

Stary patrzy, patrzy... lży jemu zakręcili się w oczach i kapać zaczynają. To jego konie były prowadzące w zaprzęgu. Poklepał je po szyi, dał dużo porcji owsa, żołnierzowi chleba, kiełbasy i pojechali gonić pułk.

Na jutro znówuszą się, ale bez woźnicy, z pustym jaszczem. Tylko na siedzeniu kawałek chleba do oparcia krwio przyklejony. PIANO całe okryte, ledwie na nogach stoją. I tak już zostali. Potem Klimowicz do Supraśla imi przyjechał.

Zubkin oglądnoł koni, zobaczył wypalone na zadzie cyfry. Przeciagnoł rękę po bliznach.

- *Da charoszyje łoszadi.*

- A co? - nabzdyczył się jak indyk Klimowicz. - To choć koni, a nie te, te, te... te wasze koty.

- *Eta, haworisz, twai łoszadi?*

- Moje.

- *Nie wriosz?*

- Co wriosz! Moje konie!

- *Fiedia! Dawaj, prywiedi siuda naszyc łoszadi! Machniom z Paliakom... Pust' wracz znajet ruskie sierce.*

- Jak dawaj? Co machniom?

- *Nie chcesz?*

- Nie chcę!

- *Nu i nie nada. Bieri Fiedia łoszadi w plen!*

Pokazał palcem na wojskowe numery. Klimowicz za orczyka brać się. Ledwie jego syny za ręce utrzymali.

Nie daj Boże sowietu się przeciwieć. Odraz nic nie zrobi, pośmieje się. Ale za parę dni przydo noco w kilku, weźmą w swo... A bo to mało nerwusów i gadeusów opyliło się na

białych niedźwiedziach? Pobrali lekarzy, nauczycieli, policjantów, urzędników, leśników z żonami, małymi dziećmi i ciągnęli przez pół świata na zatracenie. Nie było - zmiłuj się. Po cholere taka wycieczka, lepiej było cicho siedzieć.

A koni i tak wrócili się do Sokółki, jak Niemcy Ruskich pogнали. Skąd i jak to się stało? Komu ciekawo wiedzieć, niechaj koni spyta.

Pus't' gieroj wisit

Oj ciemne to to było. Nie widzieli nic, a znali się na wszystkim. Wszystko u ich w sojuszu najlepsze i największe na świecie. Ty jemu pod niuch białe, a on tobie widzi czarne. I gadaj z takim.

Wieczorowo poro przychodzi do nas grupa kwatermistrzowska. Największy pokój kazali zwolnić i zakwaterowali siedmiu żołnierzy. Mieli dobre rozeznanie, co u kogo jest, jak duża rodzina i kto czym się zajmował przed wojno. A nawet kto się z kim się tego... Nie darem przed wojno niektóre supraskie tłusto jedli.

Na ścianie paradnego pokoju dwa obrazki wisieli. Na jednym ułan z konia się schił do krasnej na gębie dziewczyny... nie wiedzieć, czy po dzbanka, czy do jej cycków rękę dostaje. I ten w porządku.

Ale co było na drugim? Ułan gna bolszewika. Bolszewik się obrócił i strzela z nagana. Widać naboju jemu wyszli, bo ułan stanął w strzemionach, podniósł szablę, tnie zza ucha, za-re bolszewiku kalapitus robi. Tylko patrzeć... głowa pokoci się.

Najważniejszy w komisji oficer stanął przed obrazkiem, rękę do tyłu założył i kiwa się, raz na pięty, raz na palcy, raz

na pięty, raz na palcy. Matka wystraszona podeszła do jego i mówi:

- Panie oficjerze, może ja tego obrazka zdejmę?

- *Nie nada. Charosza kartinka. Gieroj szapku imiejiet? Imiejiet. Strelajet? Strelajet! Nu i niczewo?... Pus't' wisit. A etu pamieszczickuju bladź - pokazał palcem na dziewczynę z ułanem - nada so ścieny zniat'.*

Nie widziała gdzie zegarka?

Tylko co za komisjo drzwi się zamknęli, ojciec z Kisieleskim weszli do kuchni i ojciec pyta matkę:

- Nie widziała gdzie zegarka? Powiesił jego na gwóźdźku, za tumbko pod oknem. Nigdzie nie widzę. Czort ogonem nakrył czy jak?

- Może gdzie położył?

- Nie. Tu za tumbko, na gwóźdźku... tu jego zawsze wieszali.

- Ruskie byli? - spytał Kisieleski.

- Komisja w sprawie kwater...

- Jak byli... *piszy prapalo*. Tu i święty Antoni Padewski nie poradzi. Jego też kiedyś obioro, niech tylko do Włoch dolazo... Tu już pół ulicy obrali. Trzeba było pilnować.

- Stała ja nad imi, na ręce patrzyła się. O obrazkach my gadałi...

- Cholera na ich złodziejski łeb - kłół ojciec - to pamiątka po dziadku. Baronowa jemu za dwadzieścia pięć lat pracy dała. Żeb po śmierci w wodzie stali i pić prosili! Żeb do końca życia żyli z tego, co podiwano. Zare do ich *kamandira* ide.

- Zdurniał? Co tobie to da? Biedy tylko sobie i nam napytasz - przestraszyła się matka. - Ciesz się, że tylko na zegarka się połaszczyli. Kazi cało bieliznę ze sznura zdjęli.

- Tera chłopie i tak wszystko będzie wspólne - pocieszył ojca Kisieleski. - Zegarki, portfeli, żonki... *wsio* będzie wspólne. Na ulicy wywieszono cytałech, a w im będzie stało kto, kiedy, z kogo babo i wiele razy może.

- Przestał by ty przy chłopcach takie aresztanty pleść - ześlóła się matka.

- He, he, he... naczałstwo będzie wydawało tałony, przydziały i deputaty na baby.

- Najlepiej wyjdą na tym nieruszone panny i przechodzone wdowy, bo i im się czasem coś trafi - zarechotał do wtóra Kisieleskiemu ojciec.

Jak tera z żonkami będzie?

Henio trąca mnie w bok...

- Kaźmierz, jak to tak, że żonki wspólne? To mama dla wszystkich ruskich obiady będzie gotować, skarpetki prać i cerować?

- Głupi ty, Heniu? Obiady sobie same gotuj. Toż dali wczoraj tobie poprobować.

- Łeeee. Od samego smrodu, co z ich kotła słyhać, już mnie nytko zrobiło się i ciągać w środku zaczęło. Nie probował... łeeee.

- A skarpetki? Gdzie ty u ich skarpetki widział?

- To skarpet nie noszo?

- Nie noszo.

- A co na nogi kładno?

- Owijki, no, onucy. Samochodami je do prania aż spod Lidy do klasztoru wożo. A tu supraszkie baby na dwadzieścia balji pioro.

- Ale, Kaźmierz powiedz, jak to z wspólnymi żonkami będzie?

- Dobrze będzie. Na jedno babe musi trzy chłopcy robić bendo i pieniędzy jej oddawać.

- To ja się nie żenie.

- A kto cię będzie pytać? Ożenio i już. Słyszał ja wczoraj, że Siemiezonow dla ciebie na żonkę „durno Hańdzie” szykuje.

Na to się szczun tak zezłól, że kamieniami we mnie zaczęło rzucać.

Po południu tatko wrócił od *kamandira*. Siadł na stołeczek pod plito i za papierosami po kieszonkach maca.

- I co? - spytała się mama. - Zegarek się znasz? Doszli, który rąbnoł?

Tatko nic nie powiedział. Splunął na podłogę pod plito, wstał ciężko ze stołeczka i wyszedł na podwórze. Nie pamiętam, że kiedyś w swoim życiu tak zrobił. Mama za nim wychyliła się z okna.

- A ty stary pierniku, co? Na ichnio wiare przeszedł? Cholerniku jeden! W domu na podłogę, pod święte obrazy mnie tu pluwać będziesz? Może w czapce do obiadu siadać zaczniesz?

Głodne, że płota zjedli

Pod wieczór za drzwiami w sieniach jakiś rumor, łomot zrobił się. Wyszedł ja spojrzeć... żołdacy do pokoju słome taszczo. Na pokuciu, w kąteczku, gdzie po krzyżyku tylko półeczka została się, leżała na kupie siodła, szabli. Szabli inakże jak naszych ułanów, bez osłony na ręce. Wyciągnął ja jedno do pół z pochwy. Nigdy z tak bliska szabli nie widział. Podobna zdała się mnie do ojca brzytwy.

Spojrzął ja na obrazek, gdzie ułan szablą rąbie bolszewika i zimno mnie się zrobiło w krzyżach. Zobaczył ja, jak ta wiel-



ka brzytwę przez papacze, przez włosy, kości i do mózgow wchodzi. Brrrrr. Rękami żesz się nie zasłonisz, bo odpadno.

Żołnierze zzuwają ceratowe buty, kładą się polanem na słome i odraz zasynają. Po całej chacie rozeszło się chrapanie i kwaśny, niemożliwie dusliwy smród onuc.

Przecknął się ja na ranku... i odraz poczuł błogość - chwala Bogu tygodni mineli i nikt do szkoły nie gania. Ojca od rana gdzieś poniosło. Zasnął ja. Musi wszystkie na nogach... nawet Heniutek. Matula śniadania nie robi, przyszedli do jej sąsiadki, rozsiadli się w kuchni i pytlują. W całej chacie, choć okno przez noc było roztworzone, dalej onucami jadownicie słyszą. I dziś, choć tyle lat przeszło, jak do paradnego pokoja wejść... wszystko mnie się zdaje, że ten smród tam wisi w powietrzu.

A za oknem ruch i śmiech. Co im tak wesoło? Wziął ja na początek wojny bez łeb kamizelko... to jak jej dziś koniec, może wziąć znówus. Wyglądnoł za okno... musi się wszystkie sąsiady do nas zeszli i wszystko czegoś idą za świronek. Wychodzą zza jego i kaczają się ze śmiechu. Migiem pomyślał się, ubrał i wyleciał na podwórek.

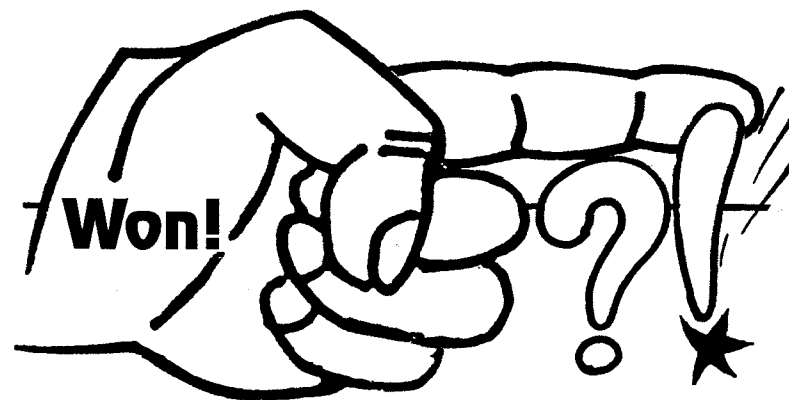
Wczoraj wieczorem, za naszym świronkiem bajcy koniki do płota uwiązali. Takie syberyjskie... średni chłop jakby siad na im, to nogi jemu bedo się po ziemi ciągały.

Zaglądnął i ja tam... A niech cię choroba... ot, tobie raz... No takich fokusów w życiu nie oglądał. Koni rządkiem klęczo jak w kościele przed balaskami na przednich nogach, tylko zady mają zadarte w górę i ogonami od much się wachlują. Łby spuścili i nie podnoszą, bo na ich płot leży. Przez noc z głodu zjedli słupki, płot upadł i przydusił do ziemi.

Pośmieli się my z ruskich porządków i dość. Przyszła na

podwórek stara Malewiczowa, popatrzyła na wesołków, kulaśso pogroziła i mówi: Kto z ranka suszy zęby na wieczór miał będzie łzy do gęby.

- Musi ta stara wrona krakać? - spytał się tatko, śmieszne łzy kulakiem ocierając. - Trzymaliby ją w chacie, żeby ludziom życia nie brzydziła.



Tak się chwastem na swojej ziemi został

Szybko my poznali prawdę, że wczorajsza ulica 11. Listopada dziś jest 17. września. A 17. września to dzień *aswabożdenia Zapadnoj Bielarusi od palackoho gniota*.

A my tu w Supraślu na swojej ziemi są ludzie obcy... chwast znaczy, co jego tylko wyrwać, opielić i pod płot wygruzić. Naraz moja Ojczyzna stała się czyjś... nie moją.

Czerwony kurdupel w biskupim łóżu

Zacherty dobrze wiedzieli, jaki ich tu czeka los. Co bądź załadowali na samochód i odjechali. Byle dalej od czerwonej zarazy. W pałacu została się tylko służba i ucziwie pilnowa-

ła, żeb nikt nic nie rozciągnął. Za to mieli płacone i nic nie przepadło z pałacu do nadejścia bolszewików.

Pierwszy pojawił się *prezydent* Supraśla, Siemiezonow. Przyjęty dobrym słowem, jedzeniem i wypitko z zapasów pałacowych, podziękował za gościnę, gębę w serwete obetar, pochwalił, że się starajo i kazał dalej pilnować pańskiego dobra, bo tera to dobro wspólne.

Przeszło pare godzin, wrócił z bardzo ważnym i bardzo maleńkim pułkownikiem enkawude, Sobakinem. Czarniawy karakan... Gruzin nie Gruzin, Żyd nie Żyd... czort w ich tam rozbierze się. Śmieli się wuj z tatem:

- Widział kurdupła, co będzie tera Supraślem rządził? Wszystkie ruskie przed im dęba stajo. A medali u jego jak dentek na choince. Pamięta liliputa, co jego przed wojno w cyrku wozili?

- Widział. Zamykali jego w kufrze i on z kufra zniknął.

- Nie, ten nie potrafił takiego fokusa... On zrobił całkiem inno szutke w biskupa łóżku.

Wielkie łóżko pod czerwonym baldachimem, ozdobione złotymi sznurkami i kutasami stało w gościnnym pokoju od carskich czasów, kiedy w Supraślu baronowa biskupa Roppa gościła.

- Łóżko było takie wielkie, że w poprzek jego musi z dzieięciu Sobakinów by weszło - zauważył wuj.

- No... popili zdrowo i Siemiezonow zmorzonego snem karakana pod pachy do sypialni zanios.

- Ciekawo, co jemu na nowym miejscu śniło się?

- W takim łóżku? Musi, że sowieckim carem został.

- Pasuje! Tylko wyrezany na zagłótku biskupi kapelus z złoty sierp i młot pomieniać.

- Na jutro służba przyszła budzić... a w sypialni smród niemożliwy. Poleciały baby do Siemiezonowa skarżyć, że Sobakin zapaskudził łóżko.

- Musi żołądek Sobakina pańskiemu obroкови niezwyuczajny, bo się zbuntował - wyjaśnił Siemiezonow.

Ale Sobakin lagsy nie od tego dostał i swojo niemoc tak tłumaczył: - Śni się mnie, że we drzwiach stoi towarzys z Dzierżyński i palcem ku sobie wzywa i mówi: - Co wy? To w towarzyszu Jakubasow czujność klasowo utracili i do pałacu zamiast frontowymi... kuchennymi drzwiami wchodzicie? Trud i znój robotniczy przeżeracie i przepijacie w kuchni ze sługusami wyzyskiwaczy? W burżujskich piernatach się wylegujecie? Ja was towarzyszu za to każe...

I tu się ja przecknął i nie wiem, co towarzys z Dzierżyński kazał... a w łóżku już było nasrane.

Jak to nie Sobakin w łóżko biskupa narznął, to może Dzierżyński napaskudził, że burżujskie prywyczki jemu obrzydzić.

Try miga

Po wyjaśnieniu nieporozumienia Siemiezonow kazał wszystkim zejść do pałacowej kuchni. Siad za stół, wyjął z drewnianej kabury naganę i położył przed sobą. Na stół wysypał garść naboju, spojrzął na to gromadkę, co się wkoło plity cisnęła i poradził im, żebn żnikli. Tak jak tu stoją, zare ma ich nie być.

- *W try miga was niet tu! Paka nie zariażu nagan!*

Wolno wskazując każdego naganem policzył, ile ich jest. Tyle naboju wybrał z kupki i powoli zaczął ładować do pistoletu. I oni żnikli w *try miga*. Na odchodne kucharka z pokojowo z całego pałaca porcelanowe nocniki zebrały i wstawiły do kredensa, pomiędzy wazy na zupe.

Partia! Partia! Partia! Tolko partia!

Też i w *try miga predsedatiel* Siemiezonow zaprowadził w Supraślu demokracje. Zebrał kogo bądź z ulicy w Domie Ludowym i demokratycznie wybrał Rade Miejsko, a Rada demokratycznie wybrała burmistrza. Miał nim być Zawadzki... robotnik i cieśla, tylko jedno w im paskudne... niepartyjny. I tu z demokracjo po sowiecku koniec. Sobakin na Zawadzkiego się nie godzi, chyba, że wstąpi do partii. Na to radni stwierdzili odważnie... że przez zapisanie się do szkoły nikt nie staje się mądrzejszym... co wsparli litrem czemergiesu podarowanym od ręki dla Siemiezonowa... przez co zyskali jego sympatie i decyzje - jak lud chce Zawadzkiego, to Zawadzki ma być... nawet bezpartyjny.

Na to Sobakin się wściek i rozwiszczał:

- *Partia! Partia! I tolko partia! Zdieś budziet dzierzat' właśť! Nada ab etim znat'... na izuśť! Tolko partia!* - wyrznoł pięścią w stół, przewrócił kałamarz, zalał papiery i sekretnym słowem - *jebu waszu mat'* - mowe przypieczętował.

Partia szachów między Sobakinem i Siemiezonowem rozegrała się dalej poza świadomością ludu.

Z Bogiem lepiej powoli i z chitrością

Na dyrektora szkoły wyznaczono Przytułę i wszystko szło jakby po staremu. Krzyże wisiały na swoich miejscach, nawet ksiądz dalej prowadził lekcje religii. Ale ile można?

Jednego dnia Siemiezonow zwołał zebranie rodziców. Przytuła ostrzeg ich, że chodzi o usunięcie ze szkoły religii i krzyży z klas na „osobiste żądanie rodziców”. Na jutro przyszedł, kto mog i nie mog. Za stołem siedział Siemiezonow i błady jak kreda Przytuła, który cichym głosem przeczytał oświadczenie rodziców, że na ich życzenie znosi się w szkole

lekcje religii i zdejmuję krzyże.

Podnios się krzyk, tumult, wszystkie wstali i ruszyli w kierunku prezydium. Siemiezonow mało w portki nie zrobił... nie miał gdzie uciekać... za im nie było ani drzwi, ani okna.

Zaczoł wołać, że to nie tak było napisane, że Przytuła wszystko pokrećił.

Ludzie wrócili na swoje miejsca i nastąpi cisza. Tera Przytuła na twarzy zrobił się czerwony, a zbiełał Siemiezonow. Przytuła tłumaczył - w Związku Radzieckim panuje wolność i każdemu wolno wyznawać religie jako kto chce. W Supraślu też, bo tu już jest Związek Radziecki. Co Siemiezonow potwierdził kiwaniem głowy i wszystkie rozeszli się myśląc w duchu: *nie taki kacap straszny, u jego tylko morda taka*.

A na jutro ruscy żołnierze księdza Sidorowicza nie wpuścili do szkoły, zdjeli krzyże, a za jakiś czas kilku krzykunów pojechało za Ural... wypoczywać.

Na miejsce zużytych nauczycieli pojawili się nowi, ruscy, a z nimi ruski język w Supraślu rozgościł się lepiej jak za cara. Przytułe wzięli w noc wigilijno i zawieźli do więzienia w Białymstoku. Żona jego, znając sowieckie obyczaje, przeniknęła przez zielono granice do Warszawy i uratowała się od wywózki.

Partia to rzecz nie do śmiechu

Bolszewicy co i raz robili zebrania - *sowieszczanija*. Z kilku ulic ludzi spędzo do jednej chaty i tołkujo, jakie to ich tera w Supraślu szczęście spotkało i że so durnie, bo o swoim dobrze do tych por nie wiedzo. Dopiero na zebraniu im oczy się roztworzyli.

Na jednym takim *sowieszczaniju* zwołanym na tartaku Dańczyka Sobakin cierpliwie tołkował ludziom, czym jest

najwyższa władza radziecka, jak ją czcić i honorować się należy.

Kiedy już wszystkim wyluszczył co i jak, zaczął z tej *je-wangielii* odpytywać.

- *Nu! A dopiero tawariszczy skażycie mnie... kto znajet - czo eto takoje Wierchownyj Sawiet?*

Cisza.

- *Nu, tawariszczy, kto skażet?*

Cisza.

Kto chce daremnie za głupka być? Żeb sąsiady z jego sąsiedzki mieli i sztuki robili? Patrzali tylko jeden po drugim i siedzieli cicho. A na Brzozówce była jedna durnowata... ot, zapodziała się gdzieś w rozumie. I ta wyrwała się.

- *Ja, ja, ja znaju! Ja tawariszcz skażu!*

- *Nu ładna. Skaży.*

- *To będzie tak... Wierchownyj Sowiet to sowiet, co wierchom na kaniu jeździć.*

Taka cichość na supraskim świecie nastąpiła, że słyszeli, jak Jancziszinu pchły za kołnierzem szeleszczą. Ale tylko tak się zdało, bo to w Sobakinie złość szeleściła. Boże drogi, jak on jej rugał, jak ją wyzywał, obsobaczał. Jak żyje tak ohydnych wyrazów, nawet kiedy krowy z pastwiska gnają w Sołdzie... nie słyszał.

A to był bardzo wysoko kształcony oficer. Widać u ich tak jest, że bez jobów żyć to tak, jakby przez pół życia.

Wykleił się Sobakin, nazad człowiekiem stał i normalnie mówi:

- *Nuuuuu tak, budziem kańczat' sowieszczanije. Wsie idut damoj, a eta trietażnaja bladź astajotsa zdieś.*

Ludzie dawaj durniu tołkować, że ona *sumaszedsza*. Dołożyli do tego flaszke *czemergiesu*, trochę wędzonej kiełbasy, rubelków i uwierzył, że ona jest odchodząca od rozumu. A tak durna baba bzycała by na czubku światu.

Partia monarchistów

Żeb się pokapować, kto jest kto, ciągle wszystkich spisywali. Sobakin z pisarzem pojechali do Studzianek studziańców do roboty w lesie spisać. Spis robio jak trza, wedle alfabeta. Jak doszli do litery P, zaczęli ludzie podawać jakieś podejrzane nazwiska: Panasiuk, Panek, Panufnik, Pankiewicz... wściek się Sobakin - *Mat' jewo... wsie u was pany? Chwatit! Dawolno panow! Piszy jewo Kiewicz.*

A tam była rubryczka, do jakiej partii przynależy. Pyta pisarz tego Pankiewicza.

- Do partii należy?

- Należy.

- Socjalistów, komunistów, anarchistów?

- Nie. Do partii Korola.

- *Nu prawidłno! Pan w partii Karola nużen byt! Piszy, monarchist!*

Dopiero jemu tłumaczo co i jak... Kłopoty spore byli, po kąd durniu wytołkowali, że przed wojno partiami do roboty w lesie chodzili. I kto to partio kierował, tak to partie nazywali. Jak był Maksimowicz - to była partia Maksima, Kozłowski-go - partia Kozła, Korolkiewicza to Korola.



Po prawdzie to biedny naród

Człowiek u ich jest za nic i jedna jemu pisana droga, chyba że przestanie być człowiekiem. Jak mówił Siemiezonow - *u nas wsiewo mnoha... i ludziej toże chwatajiet*. A czego ojciec w chacie nauczyli, tego w robocie musiał zapomnieć. Nie ukradł, to nie wyżył. Jak obnosił się z grzecznością odraz podejrzany, czy nie pan. Jak pan, to w łeb. Jak mówił: proszę, dziękuje - to podejrzany. Jak podejrzany... w *tiurmu*.

Bezpieczniej za białego wróbla nie być. Lepiej takie pierze na sobie mieć jak wszystkie. Temu te bolszewiki takie jeden do jednego podobne, jakby kto pieczętki stawiał. Na stronie gada przyzwocie, ale niech drugi obok pokaże się, odraz inny się robi i co inne mówi. Człowiek w im cofa się do środka jak ślimak, jak pies przestraszony do budy.

Nic z tego, co u nas proste, żołdacy nie pojmowali. Gorąc był i ja pod studnio rozdział się, że trochę obtoknąć. Zdjął medalika i na krypie położył. Łapnął jego sowiet, pokazuje drugiemu i pyta się jego:

- *Fiedia szto eta takoje.*
- *Eta? Głupost'... palackije gusła.*

Papa popa nada ubit'!

Dzieciaki są takie, jak je chowają. Same nic nie wymyślą, póki dorosłe im w głowę czego nie nakładno.

Szedł Siemiezonow z synem i malec zobaczył księdza Sidorowicza w sutannie, co samo z kościoła wyszedł. Mały, widząc od kolebki donosić przyuczony, ojca szarpie za kapotę i woła:

- *Papa, Papa! Smatri! Smatri! Pop idziot!*
- *Nu i czto takoje diwo?*
- *Eta pop papa! Pop idziot!*

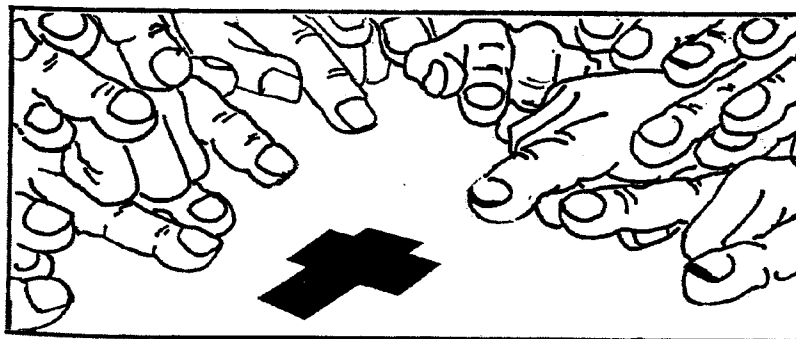
- *Nu i czto... pust' idziot.*
- *Papa bieri aruzjo, nada ubit' popa!*

Choć w Supraślu Związek Radziecki już był, *ubit' popa* nie było rzeczo prosto. Poprobował tego na drugo niedzielę pijany sowiet. Wszedł do kościoła w czasie nabożeństwa i kazał dla księdza Sidorowicza okazać *bumage*, czy nowa *włas't'* zezwoliła w kościele gusła odprawiać.

Widać była to indywidualna inicjatywa gorliwego komunisty, bo kiedy Sidorowicz uratował pijaka z rąk rozjuszonych ludzi, Siemiezonow kazał go aresztować i odstawić do Białegostoku. Nikt go tu więc nie widział. Musi dostał medal i przeniesienie. Co z oczu, to i z serca.

Kino... to taka sowiecka jewangielia

Jak tylko frontowe wojska wyszły z Supraśla, na parę miesięcy w klasztorze zakwaterowali oddziały enkawude i zaczęli



powolutku, cierpliwie Podlasie na Zachodnio Białoruś mieniać.

Niektórym tak się wtenczas i dusze pomieniali, że choć już przeszło sześćdziesiąt lat, odwyknąć od służenia Moskwie po dziś dzień nie mogą.

Cało okolice, lasy naokoło Supraśla od Pstrągówni po

Krasne zajęli pułki sowieckiego wojska. W ziemi porobili magazyny, warstwy naprawcze... tak gotowali się iść razem z Hitlerem grabić Europę. Do głowy im nie przyszło, że sojusznik plany ma inakże. Jak enkawude wyniosło się do Białegostoku, w klasztorze zakwaterował *4 Motocykietnyj Połk* i jakaś szkoła podoficerska. Naczelnikom sztabu 4 pułku był starszy lejtnant Jakubasow.

Rozpanoszyli się w Supraślu i zaczęli po swojemu gospodarować. Do bazyliki wprowadzili koni, a w kirsie po jewangielikach zrobili żołdackie kino, bo u sowieta kino święta rzecz. Chodzili do jego zamiast do cerkwi i wierzyli we wszystko, co tam zobaczyli, jak w *jewangielju*. Przed żołnierzem wychodził politruk i opowiadał film... co tam zobaczo, o co się w im rozchodzi. Potem puszczały obraz. Pokąd światło nie zgąsło żołdacy kręcili skręty z machorki. Jak film się zaczynał, zapalali i w kirsie robiło się siwo, obraz zachodził mgłą, a my niepalące szczuny kaszleli jak szalone.

Gdzie się dwa ruskie w imię trójcy Marksa, Lenina i Stalina zejdo... zare podiwano prześcieradło, rozwieszono wieczorem w rynku na ścianie jakiego domu i oglądają dzieciństwo i młodość Soso Dżugaszwili, dzieciulko Lenin w szkole, przygody Czapajewa, jego adiutanta Pieti i *pulomiotczycy* Marusi. Na początku dają obrazy o tym, jak ich rodziny mają dobrze w kołchozach i jak tam, dzięki ruskim uczonym, wszystko wielkie rośnie. Na własne oczy w sowieckim kinie oglądała kartofli jak dyni, krowy jak słoni i pewnie by w to uwierzył, że na te same oczy nie widział, jak ich żołdacy kisto kapuste z suszono rybo i stęchło kaszo na okrągło posuwają. Patrzali się na te olbrzymy kinowe i pytali nas z dumą - *Nu kak?*

Wtedy my śmiewali się, że wszy coś im nie wyszli, na to samo małe jak boże krowki. Spierali się do upadłego, że prawdziwie wszy u ich so jak *chruszczy*... no, chrabąszczy.

- *To w waszoy Polszy takoy pahany wazduch szto i waszy rastut' ni chotiat.*

Prywatna wojna starszego lejtnanta Jakubasowa z Panem Bogiem

W kirsie leco filmy o tym, jak w sojuszu cerkwie walo, panów i popów krwiopijców wieszają, kulaków strzelają, kontrewolucjonistów i sabotażystów reżo... a na górze, na wieży, jak nigdy nic, chreścik sobie stoi. Znaczy się - pomyślał starszy lejtnant Jakubasow - Pana Boga na wierzchu.

Gryz się tym niemożliwie, okropnie mordował, schudł, zbiedniał, szerniał, no wyglądał paskudnie, czysto jak zatkało od komina. Najgorsze było to, że chreścik na wieży cichcem, z dnia na dzień, podgryzał bojowo wartość Armii Czerwonej.

Jakubasow dobrze to rozumiał i kazał żołnierzom jego zerznąć. Wieża stroma, wysoka i cienka... co który polaz, to w pół drogi schodził nazad. Bali się. Bać się... ludzka rzecz, ale tu o Pana Boga szło i światowy proletariat.

Ale żeb do krzyża się dostać, trza być niekiepskim asem. Bo jak się spierniczysz, to choćby nie wiem jak mocno w imię Lenina i Stalina rękami machał... fruwać jak ptaszka nie uradzisz. Wleźć to wleźć... ale *chreścika* zerznąć?... Nawet jak im od dziecka za uszy kładli, że Pana Boga nie ma, to każdemu, jak nie z miłości to ze strachu, na dnie sumienia, trochu Jego zostało się. Każdy woli żyć, jak za ptaszke robić. Toż i heretyku, jak przyjdzie dla jego łyżkę odłożyć, na koniec zostaje paskudne zapytanie: - a co będzie, jak Bóg będzie? Jak pyta, znaczy wierzy... nie dowierza, ale wierzy. Bo wątpić to znaczy wiedzieć, ale nie na pewno.

No i na wieże nikt nie polaz. Wnerwił się Jakubasow, żołnierz obsobaczał, w morde lał... nic nie poradził. Tydzień urlopu dawał... nic. Dołożył drugi... też nic. Chciał nie chciał... mus nie mus, sam polaz Armie Czerwone od *otuma-*

nienia ratować. Piłkę żelazno za paska zasadził i pchnie się w górę. Dolaz do czubka, paskiem przywiązał się i... rzaż, rzaż, rzaż, rzaż... rznie.

A pod kircho na ulicy ludzie przystają, głowy zadzierają i patrzą. Wysoko, na czubku wieży siedzi mała sukina i pilko chrześcika reże - rzaż, rzaż, rzaż, rzaż.

Zeszło się trochę kobiet... stoją razem katoliczki i Niemkinie, co się zostali, prawosławne i żydówki... nieme, tylko ustami poruszają. Każda modli się po swojemu do wspólnego Boga... Modlą się, żeby had na zbity pysk zleciał. A on zesz siedzi i spokojnie chrześcika reże - rzaż, rzaż, rzaż, rzaż.

I nic. Ni pioruna, ni małanki, ni groma na pahany łeb... ni cuda... nie doczekali się. Przyjechał ciągnik na gąsienicach, sznura do krzyża zaczęli i zerwali.

Odleciał znak Męki Pańskiej, odfrunął znak boży od domu Bożego, pofrunął w dół jak strzelona ptaszka i walnął ob ziemię, aż ta ze strachu i z bólu jęknęła... zadygała. Zare na świecie zrobiło się cichutko i pusto. Mrówki nam po krzyżach przelecieli na to zgroze. Nawet jaskółki na niebie zastęgli czarnymi kropkami.

A dadzą wiare?... temu skurczybyku nic. Wlaz na samego czubka, stanął na im jedno nogo, ręce na boki rozłożył, nachylił się do przodu i pokazał ludziom „bociana”. Poszuchał się na boki, żeby widzieli, że dla komunisty nawet Bóg nie straszny... i zaczął złazić. Rozwiewała się ostatnia nadzieja na rychło kare bożo.

Na świecie i w duszy wszystko czarno robiło się. Pomyślał ja rzecz straszno. - Jak taki łapciuch, takie nic, taka dziurka od klucza to robi i dla jego nie ma kary... to może i Ciebie, Panie Boże... tu złapał się ja ze strachu za głowę. To czego tego wcielonego, tego żywego antychrysta nie pokarał? Nie mogą choć letko dmuchnąć... wiatarka podestąć... aaaaa?

Pan Bóg nierychliwy, ale jest...

Zaraza na sowieta prancowaty łeb... zlaz. Wychodzi z kirchi na schody, a ich tych schodów tam jest... Wychodzi zadowolony z siebie, łba zader, patrzy na nas z góry, rence za paska zasadził, brzucha wypuczył, śmieje się i powolutku kroka na pierwszy schodek robi. Naraz... noga jemu podwinęła się, zagibał had, zakolebał i rypnął ob schody. Zleciał na zbity łeb, na sam dół jak kłoda. Łap nawet zza paska wynurzyć nie zdążył, spadł i zbił łeb. Wstał na kolana... cały czerwony od juchy. Wszystkie zdębieli... bo kto się by spodział? Czołem podpar się, a łapy wszystko dalej za paskiem siedzą. Trochę pokaczał głową w prawo i lewo, jęknął i łapy zza paska dostaje, zbiera się niemrawo. Siadł na ostatnim schodku. Obie ręce wiszą po bokach jak kiszki na sznurkach. Gęba pokiereszowana, czapka na ziemi przed nim leży, błyska czerwono gwiazdo, jakby naśmiewała się z jego.

- A co? Nie wiedział? W Polsce Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy i kiedy trza nogę podstawi.

Zaraz zlecieli się bajcy i Jakubasow odżył. Pomogli jemu wstać, a on ich rugał *pa matuszka*. Przynieśli noszy, ułożyli na ich hada i poszli.

- Szkoda, że tylko ręce połamał - westchnęła kobieta.

- Widzi sąsiadka... powiedziała druga - Pan Bóg takiemu hadu daje czas na opamiętanie.

Kobiety, stadkiem kuropatw, podreptały do kościoła dziękować Panu Bogu za cud i, że nierychliwy i, że sprawiedliwy.

Na to intencje i my z Heniutkiem wieczorkiem dodatkowo pacierz zmówili. A ja w cichości nocy Pana Boga przeproszałem gorąco, że choć na chwile... ale zważył.

A co na to starszy lejtnant Jakubasow, naczelnik sztaba Motocykietnego Polka? Jak to sowiecki człowiek... gryz się

- co powie naczałstwo, że on znowusz bitwe z Panem Bogiem przegrał. Więc jak sie tylko wylizał i parszywcu łapy z gipsu wyjeli, zare polaz na klasztorno bazylike i pięć krzyży Panu Bogu, na to samo, spiłował.

Antychryst nie może świata posiąć

Przyszli pierwsze święta pod pierszym sowietem. *Kooperatywy*, znaczy ichnie sklepy, świeco gołymi półkami. Supraskie już przywykli godziny w kolejkach za kilogramem cukru spędzać, albo po bochenek chleba piechoto zasuwać do Białegostoku.

Bolszewicy odkryli prosty sposób na zdobycie miłości ludu. Wystarczy zrobić mu łaskę i coś dać. O, widzo... władza sama ma mało... a od ust odejmuje, żeb dla ludu dać. *Brosili w kooperatiwu*, znaczy w sklepie pojawił sie towar. A za to władzy należy sie szacunek i pot, i krew proletariatu.

Na fabryce Cytrona, która weszła w skład Kombinat Nr7, staraniem supraskich gorliwców zawis portret Stalina. Naobkoło jego zaświecili, jak lampade przed ikono, pięćdziesiąt żarówek. Ojczulek, jak jaki święty, patrzył sie z fotki i odraz w mieście zrobiło sie świątecznie.

Ale „zmiłuj sie” u jego w oczach nie było. Władze kombinatu niepracującym w święta na zmianie robotnikom ogłosiły prace w lesie przy ścinie drewna na opał dla fabryki.

A po domach wszystko w święta było normalnie, jak co roku, tyle że dzieciulki nie na pierszo gwiazdke czekali, a na ojca... kiedy sie z roboty wróci? Niektóre wracali nad ranem i wtedy rodzina siadała do Wigilii. Na świątecznych stołach kobiety stawiały puste talerki, a na ich fotki tych co zgineli, co sie nie wrócili, co nie wiedzieć gdzie so i wszystkich, co ich w ten wieczór przy stole zabrakło.

Przed północo kto tylko mog szed na nocne czuwanie. Dotąd nigdy kościół tak od ludzi nie pękał, bo tylko tu my sie jeszcze troche wolnymi czuli. W to noc nawet szatan łeb popochylić musi.

Na Pasterce wszystkie śpiewali kolędy, jak mogli najgłośniej. Na to samo Sobakinom... żeb śpiewanie z kościoła im do sumienia, do duszy doleciało... jak je który miał.

W migocących świeczkach z kościelnej chorągwi patrzyła na nas smutna Supraska Mateńka Boża, Dzieciulko Święte choć wierciło sie na Jej ręku przez cało Pasterke, jedno rączko błogosławiło nam zebrany i całej nieszczęsnej Ojczyźnie naszej, w drugiej rączce, może mnie sie tylko tak przydało, zamiast Jewangieli trzymało białoczerwono chorągiewke?

Strach i żalność przemienili sie w radość

W fabryce Cytrona, pół godziny po drugiej, zgasło światło, staneli wszystkie maszyny. Ustał łoskot krosien i w tej nagłej cichości silny, męski głos zaśpiewał:

Bóg się rodzi moc truchleje

Pan niebiosów obnażony ...

Śpiewanie podjeli prządki na piętrze:

Ogień krzepnie blask ciemnieje

Ma granice nieskończony

Zare do ich dołączyli prządki na parterze:

Wzgardzony, okryty chwałą

Śmiertelny król nad wiekami

I za chwile śpiewała już cała fabryka.

A słowo ciałem się stało

i mieszkało między nami.

Potem druga kolejka, trzecia i czwarta. Strach przed sowie-
tami ludzi odeszedł. Śpiewali już nie w pół gwizdka, a na całe
pare.

Żalność przemieniała się w radość, że Pan się narodził, że
Polska się narodzi też i wolno będzie. Bo jak inaczej, toż an-
tychryst woli Bożej nie przemoże i świata na zawsze nie po-
siądzie.

O piątej nadeszła trzecia zmiana, ale fabryka stała dalej.
Młodzi zeszli się u prądek na piętrze i śpiewali razem kato-
liki i prawosławne. Ruskie najprzód wpadli w popłoch... toż
to bunt i sabotaż, a za to dla wszystkich kiepsko. Nie wiedzie-
li co robić... więc nie robili nic. A jak oglądali się, że tylko
śpiewają, udawali, że stała się awaria.

Zaraz ktoś dostał z kapoty opłatka, zaczęli sobie i sowie-
tom życzenia składać, częstować kutio, ciastem, nawet gorzał-
ko. I wtedy się pokazało, że wszystkie do roboty przyszli
dumnie... wszystkie byli odświętnie odziane. Znaczący, nikt nie
zamiarował pracować.

Nienawiść Przeków

Polaków przez to, że często w ich mowie słychać psz, psz,
psz, przepraszam, proszę... Ruskie nazywają *Przeki*.

Obok sąsiadu dokwaterowali sowieckiego oficera z rodzi-
no. Mieli córkę... jedynaczkę. Matka nad wyraz dbała o ją.
Ubierała jak lalkę w falbanki, koronki, powiąże na głowie wy-
krochmalone wstążki i z tyłu nad kuprem jedno kokarde. A ta
odstawi ręce na boki, żeb tego nie wymiętosić i chodzi jak
paw, jak naduty indor. A do każdego co ją mijał, syczała
przez zęby:

- *Nienawiść Przrzrzeków, nienawiść Przrzr...*

Na podwórzu z dziećmi się nie bawiła... to te, jak to
dziecka, wyzywały ją „Paniczka”, „Perliczka”. A braciuk He-

niutek wołał za nią „Ruski blin” albo „Miedzianka”... bo była
ruda i żmija.

Pierwszego wiosennego dnia wyszła na podwórek. Tra-
funkiem nadleciał bocian i lasnoł na nią tym co miał... i to tak
jakby kto z cebra luchnoł. Obrobił małą zarazę od ryżych lo-
ków po samiuśkie kamaszy.

Ciekawo wiedzieć... skąd w ptaszce, choć ona i dość spo-
ra, tyle się nagromadzi łajna? Później, jak tylko bocian na nie-
bie się pokazał, uciekała do chaty wrzeszcząc:

- *Mamasza! Mamasza! Snowa ajst, ta palacka morda letit!*

Wdzięczność po sowiecku

W czterdziestym pierwszym Niemcy Ruskim takiego fefru
dali, że uciekając własne dzieci porzucili. Potem tułały się po
okolicy wraz z sierotami z sowieckiego *Dzietdoma*, pokąd ich
zakonnicy nie pozbiali. Salezianie stu chłopcom zrobili
przytulisko w klasztorze, a około setki dziewczynek, z to sy-
cząc zarazo, przygarnęły szarytki... „*jeroplany*”, jak je od
białych kornetów ruskie nazwali. Chowały ją te
„*jeroplany*” do czterdziestego czwartego, do „drugiego sowie-
ta”. A ta mała zaraza tak się przy nich przemieniła, że po roku
poprosiła siostrę przełożoną o chrzest.

Kiedy sowieci znowus Supraśl zajęli, major, frontowiec,
opowiadał siostrze Adydan swoje historie. Był w supraskim
garnizonie do czterdziestego pierwszego roku i jak się wojna
zaczęła, uciekali z żoną i córką.

- Zbombardowali nas i córka wtedy zginęła i może kto tu
wie, gdzie jej mogiłka? - Nim major skończył opowiadać, sio-
stra przełożona prowadziła to „mało zarazę”. Ale już nie ma-
ło, ledwie ją ojciec poznał, taka cyba urosła. Byli łzy, szczęście i
wszystkie dla siebie miłe.

Zapytał major, czego siostrze potrzebna, co on dla ich mo-

że zrobić? Najlepsze dla zakonnic, to kiedy ruskie im nic nie robio, ale siostra Adydan poprosiła o krowe dla sierot, bo miały u siebie całkiem malutkie dzieciulki. A to był czas, kiedy sowieci po zajęciu Prus i Pomorza grabili je, a *trofiei* wlekli przez Podlasie do Sojuza. Gnali ogromne stada bydła, a co po drodze w Polsce się trafiło, też zagarniali. Major w *try mi-ga* Mećke *trofejno* siostrą załatwił. Siostra przełożona patrzy sie... żołdacy prowadzo dwie czerwone krowy. Ale jakieś znajome te bydłatka. Zawołała ogrodnika i pyta sie:

- Nie wydają się tobie te krowy znajome?

- Bo to je skurczybyki zabrali, tu obok, z pastwiska Matu-sewiczka.

Londyn eta nie Paryż

Do tych, co na kwaterze stali u nas, przychodził politruk i dbał o ich dusze jak kapelan. Miał prosty, bardzo ciekawy dar przekonywania. Kiedyś omawiał „taktykę szerzenia rewolucji”.

- *Wziami my Polszu?* - pyta politruk.

- *Tak toczno! Wziami!* - odpowiedzieli bajcy.

- *Nu. A tiepier nam w Jewropu para.*

- *Tawariszcz, tawariszcz... a Francju toże waźmiom?*

- podnoszo ręce bajcy.

- *Kanieczno. Francja eta jerunda... mielocz.. Nu... kak my w Angliju papadiom... uch!... Londyn rebiata eta nie Paryż... nabierom trofiei skolka ugodna.*

Każde miasto ma swego Kuchara

Był taki miejscowy, komunista Kuchar. Ile suczy syn nani-szczył ludzi... Przy mnie, na samym początku jak Supraśl

zajeli, wziół policjanta z Cieliczańskiej ulicy. Prowadzi jego, a co pare kroki zrobio, to kopnie w tyłek, to walnie karabinem w plecy. Ten mężczyzna szed w białej koszuli, a na jej czerwone plamy rośli.

My, prawie już kawalerka, jak co dnia, stali koło „Toški”. Tam gdzie tera knajpa „Jarzębinka”. Kuchar i policjant zrównali się z nami i ten szubrawiec po rusku mówi do nas:

- *Teper wam swaboda chłocy! Bolsz sukinsyn ni budzie was muczyt'! Kto chce?... Na! Bijtie jeho!*

A to był dobry człowiek, ten policjant. On krótko pracował w Supraślu. Nawet jakby chciał, to nie miał kiedy kogo skrzywdzić. Ale nikt z nas nie miałknoł. Nie mieli odwagi jego bronić. Co my siurki mogli zrobić? Łby spuścili, patrzali w ziemię i milczeli.

- *Ech wy Paliaczki* - Kuchar na to - *bietyje ruczki...*

Za to wieczorem, jak ja już zasynał, to wszystko pod powieko miał obkrwawiono twarz policjanta... a i do lustra bał się spojrzeć.

Potem nawet żone tego człowieka z małymi dzieciulkami wzięli. Dziś nikt ich nie pamięta... ani jak się nazywali. Zare też aresztowali leśników, nauczycieli, każdego co coś zna-czył i każdego na kogo cykaczy cykneli. Potem wzięli i cyka-czy. Brali i stali naprzeciw słonka.

Aktiabrionoczki wierne po grobowo deske

Tenże Kuchar żnik z Supraśla przed samo wojno i pojawił się za pierszego sowieta jako enkawudzista.

Pokąd się wojna nie zaczęła, z drugimi czerwonoćcami po wioskach robili spotkania, szkolili, szykowali się do rewolucji. Schodzili po lasach niby popić, ale wszystkie tu dookoła wiedzieli, z kim i czego się schodzo. Śpiewali rozmaite durne piosenki... jedno nawet zapamiętał w urwałkach:

*Na mitingu my z niej pawstreczali sia
Za abszczenny trud w mieście wzięli sia
I nie rok i nie dwa, maja komsomoloczka
Rodziła mnie synoczka Aktiabrionoczka.*

Tak jakoś to szło.

Kuchara jeszcze sprzed wojny pamiętam, na wiecach i w strajki pokazywał się. Był, kiedy supraskie chłopcy, Ulman i Budkiewicz, za nic głowy położyli. Dziesięć miesięcy wtedy stali fabryki białostockie. I Michałowo stało i Wasilków i inne, ale supraski Cytron szed. Przyjechali ze Związku Klasowego, weszli na fabrykę w Pieszczeniakach u Amdurskiego, zatrzymali maszyny, pobili ludzi i zdemolowali fabrykę. W Supraślu zrobili strajk, zatrzymali produkcję... ale tu policja towarzystwo rozegnała. Strzelali... przypadkowo oberwało się dwóm chłopakom. I Kuchar w to pazury sadził.

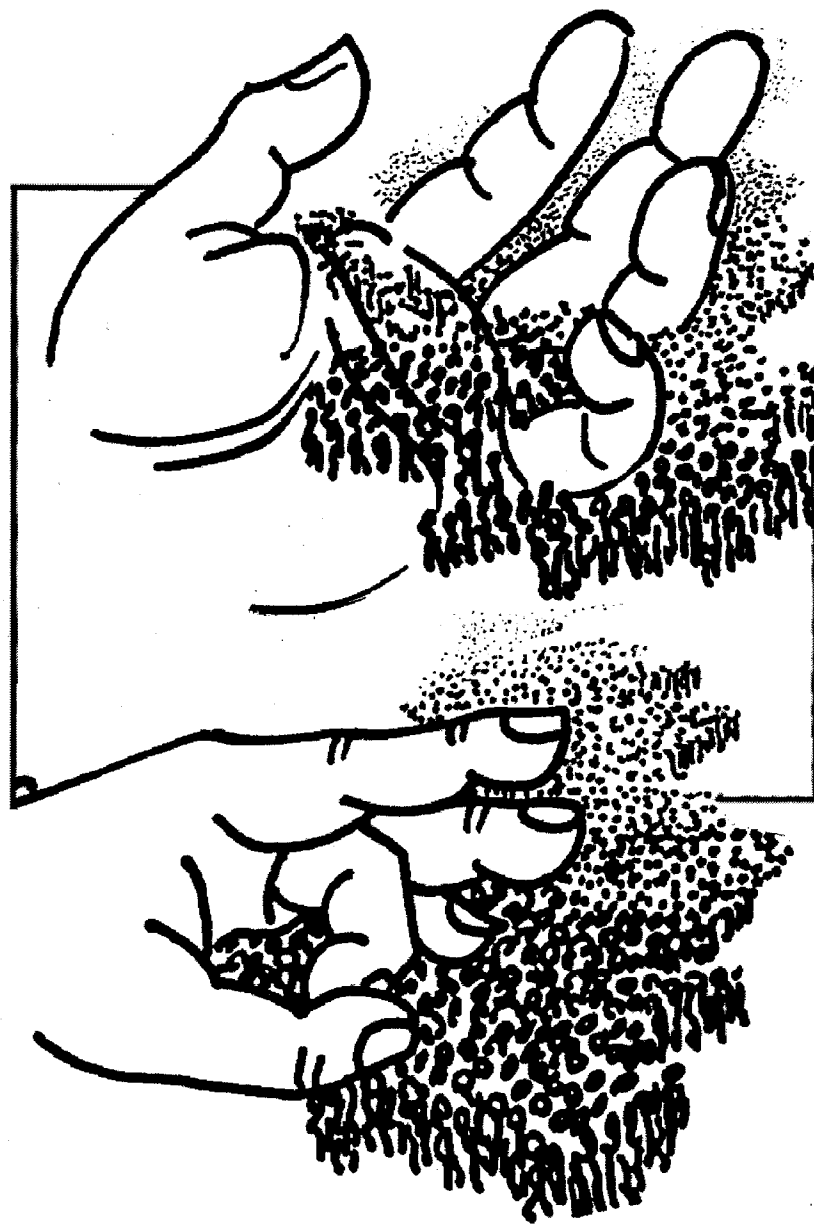
Jak sowieci weszli do Supraśla, pierszo rozliczyli tych, co im pieniędzy z Moskwy ślali. Musi kiepsko starali się, bo choć ponakładali *krasne lienty* na rękawy, choć chlebem i solo witali, piersze opylili się na białych niedźwiedziach. Myśleli, że frajerskie, daremne pieniądze bioro. Kuchar wyliczył im każde złotówkę i rachunka wystawił. Sam ich brał po nocy i ślał do „raju”, skąd się żaden nie wrócił... i nikt się o ich nie dopomina. Koła na wodzie rozeszli się i cicho.

A nauczyło to co? Jak dziadki Moskwie służyli, tak i wnuki służy, wierne po grobowo deske... *aktiabronoczki*.

Mnie dziesięć złote dali

Przed samo wojno szwagier złapał za kołnierz szczuna, jak na murze kościelnym sowieckie ulotki lepietał.

- Niech puści - prosił się - siengam Bogu... więc nie bede!



Mnie dziesięć złote dali. Wie sam, jak u nas w chaci jest...

- A matka wie, za jako robote ty jej pieniędzy przynosisz?

- Nie. Niekiedy Grenda da pare groszy, jak co dla jego zrobie, to matka myśli, że to on daje. Niechaj nie mówi, co?... prosze... bo mnie mama zabije.

To taka pijacka rodzinka. Często nie mieli co do gęby włożyć. Szwagier tylko szczuna kozyrkiem czapki przez ogolono glace lasnoł i puścił. Żal tej matki... Ja by też szczuna puścił.

Między bazyliko a woszybojni

Z bazyliki na początku stajnie zrobili. Ale żeb sowieckie koni na wałacha świętego Jerzego patrząc wiary w komunizm nie stracili, zbili jego i drugich świętych ze ścian wraz z tynkiem. Na wysokość jak z siodła siekiero dostał, zbili tynki zdobione w starożytne malowidła. Jak mogli tak tłukli, łomotali, bili te bohomyzy młotkiem, siekiero, motyczko, czym który miał... pruli tych świętych.

A spod gwieździstej kopuły, gdzie doleżć szubrawce nie poradziły, Pan Świata spoglądał gniewnie, kuźdemu sprawiedliwość i smutny koniec od niemieckich bomb na Napoleońskim Trakcie przeznaczając. Ale póki co, oni jeszcze o swoim losie prawdy nie znali, jeszcze Hitler był dla ich najlepszym, najserdeczniejszym przyjacielem.

A jaki piękny ikonostas zniszczyli... co uniaty Wisło, Bugiem i Narwio z Gdańska przywieźli. A carskie wrota w Gdańsku jak drzewniana koroneczka wyrobione, a malowidła... Wszystko to porąbali i spopielili w woszybojni.

Woszybojnie zrobili w części klasztoru, gdzie baron Zachert nasiona z supraskich sosen łuszczyl i suszył. Odwszawiali w jej mundury, bielizne, a głównie prali sołdackie onuce. Onuce zwozili z całego rejonu od Lidy po Brześć. W su-

szarni postawili ze dwadzieścia balii i dwadzieścia bab prało na tarach te sowiecko tajno broń chemiczno.

Żeb wody nagrzać, cieli jesiony, co wienc jak sto lat pod klasztorem rośli. A że ptaszka na ich jeszcze wczoraj śpiewała, palić sie nie chcieli, tylko sie ledwie, ledwie tlili.

Piecopał poszed do naczelnika sztabu starszego lejtnanta Jakubasowa i mówi:

- Niech co robi, bo drewno mokre i palić sie nie bedzie.

A Jakubasow jemu na to:

- *Majecie tam kaściol? W imże suchogo skoliko ugodno... Rubicie wsio i w pieczku! Rób co chcesz, baby muszo mieć ciepło wode, a żołdaty czyste onuce. Paszoł won!*

Na koniec dał do tej roboty *bajca*, bo wiedział, że piecopał katolik rąbać kościelnych rzeczy nie bedzie. I tak cały ikonostas i to co w środku spalić sie dało, przepchali przez pieczke sowieckiej woszybojni.

Jak na bazylice pierwszy raz moskiewskie krzyży stanęli

Przeszło trochu czasu i jednym razem patrzym, na bazylice znowusz krzyży stojo. Nowe, drzewniane i do tego moskwicińskie... bo przekreślone. - Cerkwie zrobio, czy jak? Takie nieprzejednane wrogi Pana Boga? Może to być? - pytali sie ludzie.

Pokazało sie, że to Jakubasow je postawił, kiedy dowiedział sie, że przyjeżdża komisja Ministerstwa Kultury z Mińska. Chcieli na miejscu zobaczyć, czego do tych por z supraskiej bazyliki nie przywieziono do Mińska ikonostasu i obrazów? Jakubasow wszystko wysłał... ale przez pieczke w woszybojni i tera bał sie o swojo skóre. Bał sie powiedzieć jak było, nałgał, że wszystko polskie księdyz gdzieś ukryli.



Tylko zajęli Supraśl, odraz z pałacu Zacherta, Bucholca wszystkie mebli, dywany, obrazy, stare książki dwie brygady supraskich stolarzy musieli w skrzynki pakować i jakie dwa-dzieścia samochodów trofejnego dobra wysłali do Mińska. Nawet powozy, bryczki z pałaców... a było tego kilkanaście sztuk, szczepili ze sobą łańcuchami, założyli do ciągnika na gąsienicach i powlekli przez Królowy Most, Baranowickim Gościńcem do sojuza.

Ze wszystkich innych bibliotek polskie książki zwieźli furo przed Dom Ludowy, ułożyli dużo sterte, oblali benzyną i spalili.

Jak święte przemienienia dostąpili

Komisja wezwała salezjanina księdza Dorabiałę i proboszcza, żeby powiedzieli, gdzie to wszystko pochowali? A niby gdzie mogli schować, pod łóżkiem, w szafie? Sam tylko ikonostas to wagon, jak nie wienc, rzeźbionego drewna. A reszta?

- *Kuda heto wieszczki? Kto uział? Nada addać... tiepier eto usio prinadležit bielaruskomu narodu.*

- Spytajcie naroda co w woszybojni spalił?

- A obrazy? Tam byli obrazy malowane na blasie, ich spalić nie dali? Gdzie podzieli ich?

I byłoby im kiepsko, gdyby nie mechanik i szofer Zacherta, Dobrowolski. Ruscy wołali jego do psującej się wieczne pompy do wody. I on tam widział, co żołnierze robili z obrazami malowanymi na miedzianych blachach. Wyrzynali sobie z ich menażki, kociołki, wiaderka. Dla katolika co święcone nie może się walać, więc pozbiierał obrzynki, w skrzynkę poskładał i schował pod warszatem. Jakraz się przydali. Zaprowadził komisję do tej piwnicy, wyciągnął skrzynkę i pokazał komisji obrzynki.

- Tyle z obrazów złote rączki *naroda* zostawili. Dokonali cudu przemienienia świętych w kociołki i menażki.

- A co w bazylice było z drewna, co malowane na płótnie, przez komin woszybojni puścili - dodał ksiądz Dorabiała.

- *Żałka* - sowiet na to - *żał*. *Wiedajetie, u nas w Mińskie jość ministerstwa i muzei. Jani zaniamjutsia etim usim. Nu sztoż, żal... sałdat, eto sałdat.*

- *A bladź' eta bladź'* - szepnął na ucho księdzu Dobrowolski.

Weź i jedz... jak tobie nad łyżko cudze wąsy wiszo

Tu sowiet gotowano kapuste z suszono rybo posuwa, a z dekla jemu do menażki zapuszcza żurawia oko św. Jana. Na kociołku św. Zofia od rybiego smrodu nos palcami zatyka i powietrza jak karp łapie. Jeszcze inny nie da rady *kuszat'*, bo na jego świętego Pietra oko łypie, a drugiemu wąsy św. Justyna tak wrednie wiszo, że nie wie... w swojo czy malowano gębe łyżkę wsuwa.

Za ten ikonostas, nawet jeszcze po wojnie, ubowcy zakonników ciągal. I znowusz ich te ścinki wybronili, tyle że tera milicjanci zabrali je do Białegostoku i pewnie zdali gdzie na złom.

Na ruski rozum

Jednego nie pojmuje, po jako chorobe oni tyle durnej roboty robili? Zniszczyć co z potrzeby chwili... idzie rozumieć. Ot, głodny żołnierz, żeb zupe zagotować, wsadził mebli do

pieca. Brzydko to i owszem... da sie pojąć. Ale kto słyszał niszczyć, rozwalać, daremno robote robić, spocić sie przy jej tylko po to, żeb gruz z tego mieć?

Widać zbyt leniwy ja, żeb to pojąć, a ruskie za pracowite, żeb bez roboty siedzieć. Dopiero po wojnie, jak nam zaprowadzili komunizm, i nas nauczyl brać wszystko na ruski rozum.

Na coś im rury byli potrzebne... aha... do gimnastyki... No to rozmontowali całe centralne ogrzewanie w pałacu Bucholca. Fachowo wszystko rozkręcili, a niepotrzebne kaloryfery zawieźli na Zajme i utopili. Rozebrali, choroba wie po co, piecy i kominki. A zimo do pokojów wystawili *czuhunne „izydorki”*. Rury od piecyków wystawili za okna i też mieli ciepło. O... jaki łebski naród. W piwnicy Bucholcowa pralnia miała, cało wyłożono biało kafelko z niebiesko kwiatko. To te rozumaki zamurowali do połowy drzwi, napuścili wody i zrobili dla oficerów basen do pływania.

Historyczny opał Siemieżonowa

Więźbe dachowo, belki w bazylice rzneli na opał dla komendanta miasta. A to dobre drewno, suche, historyczne, sama smolina. Sechło jake pięćset lat, żeb Siemieżonow mog sobie w pieczce napalić i bliny smażyć. Rzneli te belki, pokąd we wschodniej części dach sie do środka nie zawalił.

To żadne dziwo było... w Supraślu ze trzy niedokończone domy rozebrali i spalili. Po co do lasu po opał iść, jak obok gotowy, zerznęty i wysuszony jest?

Sowiecki naród praktyczny jest. Ile ichni guzik w spodniach dziurek ma? Trzy... i po chorobe czwarta? Jak w lesie drzewo robili... to rzneli na wysokości pasa, żeb sie nie schilać. Po ich robocie, po wojnie, całe kwartały stęborów stali. Leśnicy pozwalali ludziom odziomki darem dorzynać.

Jak ich Niemcy w czterdziestym pierwszym napaśli, w bazylice już nie było nic. Pusto. Sale gimnastyczne tam zrobili. Kamiennie posadzki zdarli... rozebrali i nawieźli żółtego piasku, żeb sobie który gęby nie rozkwaślił. Płyty kamienne z posadzki w błoto, co jego samochodami narobili, rzucali, żeb sucho nogo przejść.

Uciekali z Supraśla w popłochu, ale klasztor podpalić zdążyli. W Pałacu Opatów byli izby żołnierskie, a w ich drzewniane pryczy i słomo napychane sienniki. Spaliła się cała zachertowska połowa klasztoru. Nad Supraślem dwa dni wisiała na niebie wielka chmura czarnego dymu. Na początku pożaru supraskim strażakom nawet udało się ogień ugasić. Ale ostatni oddział sowieckich pograniczników, uciekających przez Supraśl, znowusz na odchodne klasztor podpalił.

Sikanie problem strategiczny

Na początku wojny, jak tylko klasztor zajęło enkawude, sprawy załatwiali na korytarzu... co mieli na podwórek latać? A żeb się nie uwalać, chodzili po deskach i ceglach. Jak enkawudzisty odeszli, w klasztorze stało wojsko. Sprzątneli korytarze, ale śmierdząco sprawie trzeba było jakoś załatwić...

Tego wojska w Supraślu stało... z pare tysięcy, jak nie więcej. Jak tyle chłopca w kupie sika, to to jest poważna rzecz. W klasztorze stało z kilkaset chłopca. Naobkoło kopali doły kloaczne. Gdzie by się człowiek nie powrócił, na kibiel trafiał. Jedne napelnio... kopio nowe.

Jak Niemcy już pognali skurczybyków, to tam wieczorno poro strach było chodzić, żeb nie wpaść gdzie i nie utonąć w łajnie.

Jeden żenić się miał na jutro i czegoś tam wieczorkiem poszed do Dobrowolskich, co za Pałacem Opatów żyli. Po-

szed i wleciał. Szczęściem ludzie usłyszeli, jak wiszczał... wyciągneli i nie utonął, ale ślubu nie było. Mył się, perfumami kropił, szorował i nie doszorował. Wszystko równo łajnem tak ostro było słyhać, że młoda sobie jego całkiem zbrzydziła. Hadki jej się zrobił.

Dla oficerów zrobili kibiel taki bardziej elegancki w małej cerkwi św. Jana Ewangelisty i używali jego, pokąd krypty, gdzie był pochowany archimandryta Mikołaj Dołmatow, po brzegi nie napelnili. A drugi paradny cichacz ustawili na świeżym powietrzu, za cerkiewko Jana Ewangelisty, zbudowany z ambony, tronu unickich biskupów i resztek ołtarzy. Ros tam dąb. Ile mog mieć lat? Musi tyle co klasztor. Odrasz żołdacy upatrzyli sobie łać pod im. Leli w trzydziestym dziewiątym, cały czterdziesty i pół czterdziestego pierwszego roku, do lata. To w czterdziestym drugim na wiosne, za Niemca, liści już nie puścił. Ot, jadowite sikuny.

Pańskie prawo rznąć w porcelane

Rznąć w porcelane, pańska prywyczka, a dla bolszewika obraza. No to rozwalili w pałacu Bucholca wszystkie kibele, żeb żaden bolszewik pokusie nie uleg i kapitalistycznym sranieniem w porcelane się nie hańbił. Za to na piętrze wycieli w podłodze dziure i walili na parter. Ale tak już za „drugiego so-wieta” było, jak nas znowusz „wyzwolili”.

Wielkie kisenie kapusty

Kiedy już się rozlokowali i zaprowadzili swoje porządki, zaczęli gospodarzyć. Przylata któregoś dnia z miasta Henio i mówi.

- Kaźmierz, ruskie pod klasztorem za skarbami kopio! Tako jame wyryli, że nasza chałupa z kominem sie w jej pomieści. Poszli zaraz patrzeć. Od tej hułki, co do starej poczty jechać, przed klasztorem dół wyryty. Prawde Henio mówił, nasza chata by sie w im sprawiedliwie schowała.

Pobrali deski, co je salezjanie przed wojno na remont podłóg w klasztorze kupili, i zrobili z ich podłoge, ale w tej jamie. Potem zbili wkoło ściane. Zrobiła sie wielka beczka... jake siedem metry szeroka i z dziesięć, albo i więc, głęboka. Za ściane nasypali piasku, tak że skraj beczki był równo z ziemio.

Za dwa dni patrzym - prawda, że to beczka. Zaczeli furami kapuste zwozić. Sołdaty z szabłami siedzo na skraju beczki, każdy bierze w rękę główkę kapusty, szszszszaś jo szablo przez pół i do jamy. Na dole trzech ruskich w gumakach lata. Jeden ma przewieszono przez ramie płachtę i sól jak ziarno sieje. Dwóch w środku depczo. Przed sobo i na plecach majo uwieszono sołdackie worki z kamieniami, żeb docisk był lepszy.

Ze trzy dni chlastali to kapuste. Jak już nawalili pod sam wierzch, przykryli deklek wielkim jak *plaszczadka* do tańca i nałożyli na wierzch kamieni.

Za jakiś czas z tej kapusty zaczęli soki iść, piana... No to w środku zrobili dziure i wiadrem wylewali ten szum. Przeszed jeden dzień, drugi... tyle sie tego robiło, że nie radzili wylewać.

Salezjanie mieli pompa... żeb kible szybko czyścić. Bo jak sierociniec zrobili, to miał je kto migiem napełniać. I ta pompa jakraz niedaleko tej wielkiej beczki stała. Podciągneli jo, wepchalli uwalano łajnem rure w kapuste i sok poszed z jej na ulice.

Przeszło dwa tygodni. Pod klasztor zajeżdżajo kuchni polowe. Żołnierz kapuste widłami do kotła nakłada. Drugi sie-

kiero rąbie suszone ryby i dobawia do gara. Trzeci z worka kaszy nasypie i odjeżdżajo, tylko paskudny zapach ciągnął sie za imi ulico. Wieźli te przysmaki na Cieliczanke, na Krasny Las, na Młynowo Droge, Kobyło Głowe, wszędzie tam, gdzie które po lasach stali.

Boże, jak oni to mogli jeść? Toż matka „blondynkom” staranniej żarcie robiła.

Lepsze jedzenie mieli te, co w klasztorze stali. To był wyższy sort, szkoła podoficerska. Te jedli tłusto i z mięsem. Przeżerali okoliczne majątki Młodeckiego, Kawelina, Mantojfla. Jak jedli, kości po pańsku rzucali pod stół, a dyżurny zamiatał to wszystko na nieużywano klatkę schodowo.

Jak ich Niemcy pognali, weszli my tam... całe schody, aż do poddasza, wypełniali kości. Jechało niemożliwie. A oni w tym żyli, uczyli sie, mieszkali.

Żeb ja w Nowgorodzie psa uwidziat

Po sąsiedzku kobieta świniaka uhodowała. Zarzneli jego, rozebrali. A u jej na kwaterze był sowiet, Poliakov sie nazywał. Pewnie i Polak, bo katolik i taki inny od ich, grzeczny, nieśmiały. Raz pokazał dwie karteluszkki wydarte z książeczki do nabożeństwa. Miał od środka w kieszeniu, druga kieszonka wszyta i w jej to trzymał. Jak szed do wojska, babka kartki z modlitwo do świętego Antoniego wydarła, dała jemu i powiedziała: - Będziesz żył pokąd te karteluszkki bendo z tobo.

Pokazał je dla sąsiadki jak jaki skarb i poprosił, żeb nikomu nie mówiła - *bo u nas za eta razstriel*.

Kobieta nagotowała duży gar kapuśniaku na żeberkach i dała dla jego w talerz. Zupe wtrynił w „try miga”, za mięso sie wziął. Zjad. Na koniec kości gryzie. Najpierw chrząstke, potem te twarde zaiwania, tylko trzask po kuchni idzie.

- Zdurniał? - kobieta do jego.- Co sam robi? Mięso zjad, to kości wyrzucić... *broś! Kości sabakom my brasajem!*

- *Mamasza, brosiłby i ja, kak by w Nowgorodie sabaku uwidieł.*

W żyźni my wsiewo pakuszali

Co dzień przyglądali się my, jak obiad dzielo. Tam w kotle jedna krupa bez pana nie została. Na kwatere przynieso nagotowanej kapusty z kaszo z solono rybo. Ta kasza, choroba wie, ile jej lat... z paprochami i robactwem. A ryba? Już patrzeć na jo nytko w środku człowieku robiło się... a to jeść? Ale jedli. Radzili sobie, jak mogli.

Raz nasza babka poszła do lasu trochu jagód uzbierać. Samo żołdaty z grzybów wracali. Pałatke za cztery rogi nieśli, a w środku... czego tam nie było, rozmaitości, wszelkie kaszka-joby, sobaczyńce, muchomory. No, prosto mówiąc - cała grzybowa swołocz. Babka stanęła nad płachtą, płaśnieła rękami...

- Ach, mój Boże! *Soldaciki, wy od toho pamriocie. Wy chcecie wsio heto kuszat'?*

- *Ni bojsia babuszka. My uže wsio kuszali i sztoż? Żywiom?!*

Prawda. Przyniesli to paskudztwo do chaty, obtokneli pod studnio, nawet nie czyszcząc z igieł wwalili do gara, co się w im bielizne gotuje. Nagotowali tego z kaszo... potem poprosili mame troche soli, potem o jedno cebule, potem o pół liścia bobkowego. Na koniec o *czut' czut' sala.*

Ugotowali, zjedli... a żeb choć który lagsy dostał. Mnie by na dziesiąty zagon gnało.

- Sowiecki żołądek jak podeszew - mówił najlepszy w Supraślu szewc Wasilewski - drewnianym i stalowym goździem

do wątroby przybity. A ta wątroba to cud nad cudy, musi od Boga dany, bo żaden naród takiej nie ma.

Uroda połówki wieprza

Przez pare miesięcy, do wojny z Niemcami, mieszkał u nas Waśka Frołow. Był furmanem wewnętrznego transportu w TONKO - SUKONNOM KOMBINATIE Nr7 - inaczej w fabryce Cytrona.

Frołow, kiedy pierwszy raz miał jechać furo przez Supraśl, żeby się nie pogubić, wziął mnie droge pokazywać. Jechać z dużej fabryki do małej wypadło przez ryneček. A na ryneczku stojo rozmaite budki. W jednej, chłop z Cieliczanki przywioz dwie połówki wieprza i rąbanke sprzedaje. Frołow zatrzymał konia, stanął i patrzy się, patrzy... Dłuższy czas patrzył, aż pyta mnie:

- *Każmierz. Czto on tam diełajet eti muzyk?*

- Mięso sprzedaje.

- *Miaso? Kak tak... miaso prodajet? I nie arestujut jewo?*

- Jego mięso. Sam wyhodował, to i sam sprzedaje.

- *A ja mogu pokupit'?*

- Idź i kupuj.

- *A gdzie pauczyt' tałon?*

- *Jaki tobie tałon? Hroszy imiejesz?*

- *Imieju.*

- *To idzi... kupuj.*

- *Kilogram?*

- Kilogram.

- *A dwa?*

- Też.

- *A try?*

- Choć całego kabana bierz, byle pieniędzy miał.

Zsiąd z fury i poszed sie spytać - *skolko stoit kilogram?*

Wrócił, wtarabanił sie na kozioł, z soldackiego mieszka wyjoł papuge pieniędzy i liczy, liczy, liczy... Czerwony na gębie zrobił sie. Zlaz z fury i poszed po mięso. Kupił za wszystko co miał. Wypadło pół wieprza.

Świńskie zauroczenie

Tu oni mieli jak w raj. Byle jako kierowniczo posade dostał, to zarabiał fure pieniędzy. Kierownicza posada to taka, co daje prawo jednemu na drugiego morde drzeć. I tu co drugi był *predsiedatiel* czegoś tam... Frołow, choć kierował furo i tylko na konie morde dar, też był kierownik i też spore pieniędzy brał.

No załadowali my chabanine na wóz i powieźli do chaty. W chacie Frołow kupiono połówkę zwałił na stół, siad na kozetke, co w kuchni stała i patrzył, patrzył i patrzył sie... na mięso.

Spory czas przeszed.

- Zakochał sie Waśka w tym mięsie, czy jak? - spytała jego mama. Przecknoł sie jak ze snu i poprosił, żeb trochu mięsa jemu odgotować.

Rąbanka w garszczu pyrka. Zapach smakowity po kuchni poszed, bo matula jak dla siebie jo zaprawiła. A on spocony, bo szynela nawet nie zdjoł, co i raz podejdzie do chabaniny, odkroi kawałka, do garszczka dorzuca głośno śline przełykając.

Widać nie mog skapować, ile tego dobra za raz wetnie, a wciąż większego smaka na wyzerke nabierał.

No... nałożyła jemu matula cało emaliowano miseczke. Tako, że dwa głębokie talerki w jo wchodzili i chleba dała pajke, stosownie do ilości mięsa. Wrąbał wszystko migiem...

bez chleba. Łyżke oblizal starannie i palcy, podeszed do garszczka, nałożył sobie drugie tyle, znaczy cało miske, i zjad. Wstał z kozetki i żeb kałduna nie uciskać, przesiad sie na ławke. Paska popuścił i wtrynił trzecio miche.

A my wszystkie, gały wybałszywszy siedzim rządkiem i nic nie mówim, tylko patrzim. Żeb jego widzieli... takie pięć minut chłop. W piątej klasie powszechniaka w trzecio ławke by pasował, takie ciut więcej jak trepeczki od gaci.

Widział kto zażreć sie na śmierć?

Nie moglim nadziwić sie, gdzie u jego to wszystko w tak marnym organizmie pomieściło sie? A on tylko beknoł, gębe rękawem obetar, poprawił sie na ławce i mówi.

- *Hospodi Boże, kakoj ja durak... kakoj durak. Ech kagda by ja znał kakoj to w Polsce hołod... Za czem ja prawdy nie znał?*

Nastawili my uszy. - A jemu co znowusz? O jakim on głodzie w Polsce bołbocze. Może jemu to co zjad na rozum uwiera?

- *Kak ja by znał ab etim, ja by nie try kartoszki, ja by mieszok kartoszki ukrał...*

Wstał, podeszed do wiadra, nabral kubkiem wody i pił, pił, pił. Aż napił sie. Sapnoł głośno.

- Jezusie, Mario... on zare pęknie! - pisnęła pod pieczko cichjutko matula.

Frołow smutno spojrzal na garszczek, w którym jeszcze trochu mięsa zostało sie.

- Kaźmierz - trącił mnie łokciem Henio w bok. - Kaźmierz, on już nie poradzi. On te resztki, co sie została, musi jak pies w ogródku na jutro sobie zakopie.

- Albo wetnie czwarto miske i dupe jemu rozerwie.

- No... jak czwarto miske zje, to sie już dla jego dobrze nie skończy. Lepiej w taki czas w chacie nie być - ostrzeg Henio.

- Hela- szepnął ojciec do matki - widział kto kiedy takie dziwo, żeb człowiek sie na śmierć zażar?

- Nie. Nam musi sie to pierszym widzieć trafiło. Ale żeb za jednym posiadem cało świńsko dupe wtrynić?

Frołow widać sie przemog i zawrócił od plity. Siąd ciężko na ławke za stół i zaczął opowiadać.

Rok zsyłki do hałodnoj Polszy

Był urzędnikiem. Za coś jego z Moskwy, o czym mówić nie chciał, wygnali do kołchozu pod Ural. A tam przyłapali, jak w czapce nios do chaty *try kartoszki*.

Zrobili nad im sąd ludowy i zasądziłi za kradzież trzech kartofli trzy lat zsyłki w *hałodnoju Polszu*. Za każdy kartofel dostał rok. Nawet jakby sprawe oddali w ręce milicji, dostałby najwienc rok więzienia.

- *Padumał ja, padumał. Tiurmu w sojuzie znaju, paliackoj jeszczu niet. Pust' budiet Polska. Pus't' propadaju w hałodnoj Polszy...*

Jadąc tutaj musiał mieć niekiepskiego pietra. Im tam opowiadali, że u nas pany chłopem orzo, robotniki w ubraniach z papieru chodzo, a matki z głodu swoje dzieci jedzo. I przyszło sie jemu tu dzieciulki jadać, a nie tam sowieckiego rajy zażywać.

Im nada miasa... rodinu zaszczyszczajut

Jednego razu do kuchni weszed sowiecki oficer, dowódca żołnierzy co u nas na kwaterze stali, i pyta ojca:

- *Słuszaj chaziain, mnie gawarili czto u was w lesu zubry jest. A ty znajesz kuda eto miasto?*

- Kto mówił?

- *Zaczem tiebie intieriesno kto? Ludzi. Znajesz gdzie eto?*

- Pare razy był... ale to daleko piechoto iść.

- *Czort tam dalioko. Waźmiom maszynu.*

- Po chorobe samochodemjechać? - spytał podejrzliwie ojciec.

- *A szto... miortwyj przydiot?*

- Co wy? Podurnieli? Żubry strzelać?!

- *Saldatam nada miasa. A to wsio tolko ryba, gryby, gryby i ryba. Ani rodinu zaszczyszczajut.*

- *Jak zaszczyszczajut rodinu, to mogłaby rodina ich lepiej karmić. A ty wzięłoby do gęby to, co oni jedzo? - spytał sie mnie braciuk Henio.*

- Raz probował... to w gębie utkneło. Tego i nasze "blondynki" nie ruszo.

- Ale te w klasztorze niekiepsko wtryniajo.

- Bo oficery. Zeżarli już cało zachertosko ptaszke i skatienne.

- Ciekawo... pokąd starczy im pańskiego?

- Musi niedługo... jak za żubry sie bioro.

- *Nu tawariszcz... pa maszynam!* - rozkazał sowiet.

- Nie wiem, czy trafie - zaczęli się tatko migać. - Dawno tam był... może kto płota... *zabor* rozwalił i poszli sobie gdzie?

- *Tatku... tatku... ja pokaże! Wiem, gdzie to jest!* - wyrwał sie, nie w pore głupkiem, Heniutek.

Za oknem stała na chodzie wojskowa ciężarówka. Białobłękitna chmura spalin wisiała na pół Cegielnianej i sięgała aż po nasz podwórek. W chacie paskudnie bienzyno zaczęło być słyhać, a ja samo miał chore gardło i kaszleć zaczął.

- Zawiezie ich na te cholerne żubry! - odezwała się mama.
- Bo zare nas potrujo jak my tu so? Nie słyszy, jak Kaźmierz kaszle?!

- Tatku... - odezwał się proszącym głosem braciuk - my z chrzestnym Jozikiem w przeszłym tygodniu ziemniaki do Straży wozili i ja ich tam widział.

Ot, jak durniu chce się ruskim samochodem pojeździć.

- Nu... *kakoj u tiebia umnyj malczyk... Waźmiom jewo.*

Ojciec spójrzył na Heniutka tak, że mnie mrówki po krzyżach przelecieli.

- Bedzie na wieczór eleganckie trzepanie futra - pomyślał ja. - Żeb głupek w oczy ojcu spojrzył, odraz świerzbienie w tyłku by poczuł i ochota spędził.

- Zostawi chłopca w spokoju, on jeszcze mały. Pokaże wam, gdzie to jest - zgodził się ojciec.

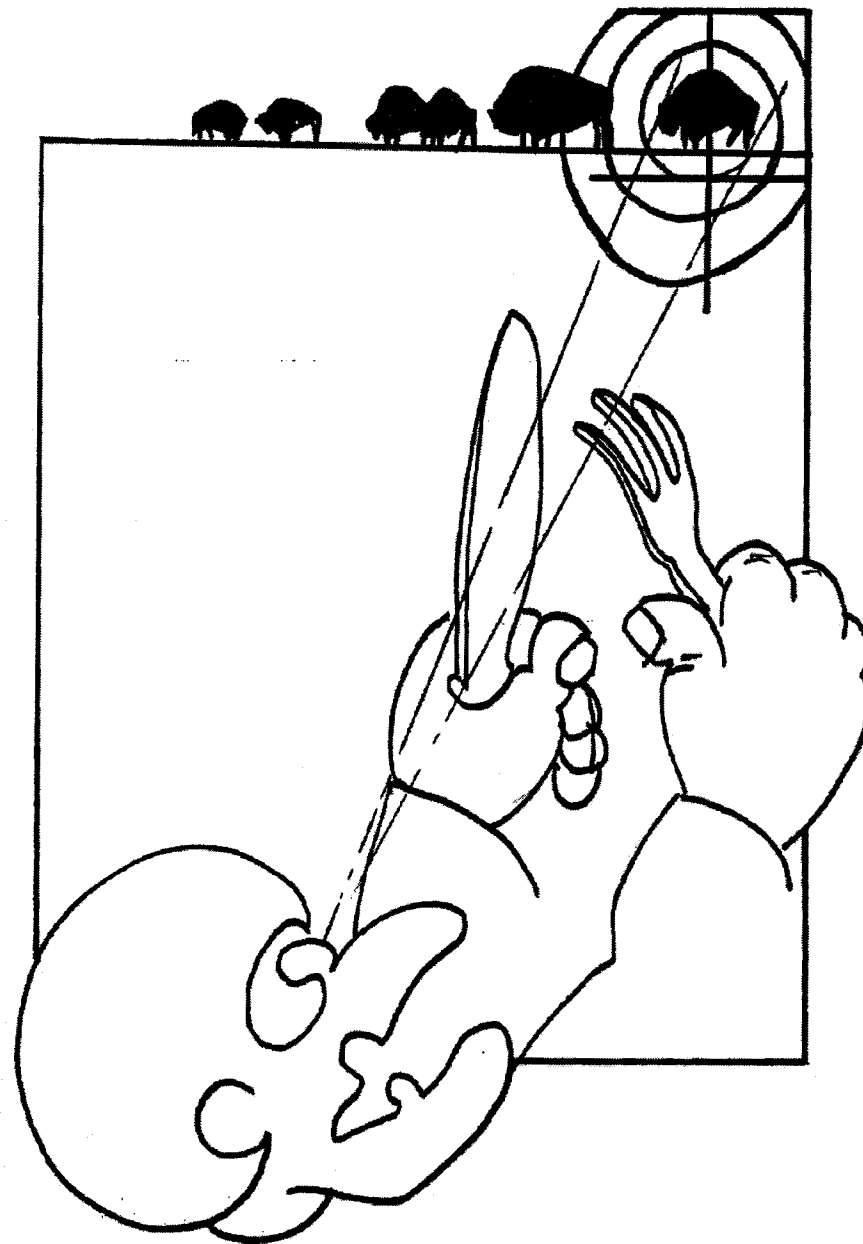
Ale ruski nie słuchał. Załadowali się do samochodu i Henia też. Po drodze zabrali z klasztoru beczki, *syszczyka* Baciela i dwóch sołtów z karabinami. Tera do Henia doszło, po co jado, po co on ma dla ich droge pokazać, czego ojciec kłamał, że do zagrody nie trafi, i że wziął na sumienie żubry, co je ruskie wybijo i zeżro.

W szoferce na kołdobach trzęsło tak, że Henio nazad oglądnoł, co rano zjad. Znaczy, tak szybko pojechał do Rygi, że ledwie z szoferki łeb wynurzyć zdążył. Jeszcze raz podrzuciło na torach kolejki leśnej, a zaraz za torami była stara szkółka z powalonym płotem. - Dobre miejsce, żeb się wyłgać - pomyślał Henio - niedoczekanie wasze, że zawioze - i zawołał pokazując rękę:

- Tu, tu, tu żubry jest!

Zahamowali samochodu przy szkółce, mało zębów nie potracili.

- Niech cie choroba! Tatku, ktoś płota rozrzucił i żubry poszli sobie. Nie ma! Ni jeden nie został się.



Wszystkie wysiedli, oficer chodził po starej szkółce, ziemi oglądał. Przeszed tam, w poprzek i na zukos. Wrócił się do nas.

- *Zdieś ty zubra widiel?*

- Jaki tydzień temu byli.

Sowiet jak nie przyiwani Heniu w jadaczke, aż czapka na pół szkółki pofrunęła, a z ust i nosa farba puściła się.

- *Byli! Jebu twaju mat! Ścierwo sobacze! A hawno zubra kuda?! Worobli sjeli?* - wrzeszczał oficer.

Jak nie poprawi Heniu z drugiej strony.

*

- Świczki mnie w oczach zaświecili się, w uszach dzwony bijo - opowiada dumny Henio - ale nie upad. Nogi rozstał szeroko i stoje. - Bij, sukinsynu.

Tatko do ruskiego z rękami... Sołdaty jego pod łokci... Sowiet nagana z kabury dostaje.

- Jezu, co ja zrobił najlepszego? - Nogi mnie zmiękli, sflaczeli. Straszno zrobiło się. - Jezu... tatke sukinkot zastrzeli.

- Ty mnie dziecka nie tykaj! - krzyczy ojciec. - Nie ty jego wylulał. Ja tobie mówił, że pokaże... czego szczyła brał? To jeszcze kawałek stąd. Mały raz tam był i dobrze nie pamięta.

Spójrzył tatko na nagana, co ruski w jego mierzył, splunął na bok i pyta się sowieta: - Co z ciebie za geroj, że ty takiego małego po twarzy bił? U ciebie dzieci jest?

- Kaźmierz... - mówił Henio - ja ojca takim nigdy nie oglądał. Nic się a nic kacapa nie bał, tylko do jego... - Jak ty taki kozak, to niech mnie te twoje skurczybyki puszczo... po-probujem się!

- *Idzi po szapku* - powiedział do mnie sowiet, schował pistolet i wlaż do szoferki.

Durno musi jemu zrobiło się, bo reszta drogi jechali w cisłości.

Ojciec wyjął chusteczke, gębe mnie z juchy obtar, pocało-

wał w głowe i przytulił do siebie. Od tego lżej się na duszy zrobiło... bo to znak, że rżnięcia we wieczór nie będzie i że żubry mam z góry odpuszczone.

Od Straży, trybo do miejsca, gdzie żubry stali, nie było znowusz tak daleko. Dojechali tam migiem. Choroba, że nikt płota nie rozwałił. Żubry stojo nad pustym żłobem jak na wystawie. Zobaczyły nas i ido. Myśleli durne, że ruskie im żarcie przywieźli. Coś w tym jest, że wszystkie łobuzom dajo wiare... nawet żubry.

Oficer chlasnął dwa. Backiel jednego i drugi sowiet jednego. *Sołdaty* skóre migiem sprawili i na rzemieni *syszczyku* oddali. Mięso porabali, posolili i w beczki. Mnie wszystko nytko od smrodu krwi i bebeców robi się i choć już nie miał czym, posunął ja w krzaki znowusz rzygać.

Skończyli robote, beczki załadowali i jedziem. A dla mnie wszystko niedobrze. Jeszcze sowiety ojcu na liściach paproci dali tego mięsa. Tatko siedzi i nic nie mówi. Po kolanach krew dla jego kapie. Mnie się przydało, że to mięso dryga. W samochodzie spaliny z zapachem krwi się pomieszali i znowusz zaczęło mnie rwać.

- *Ot pański rebionok. Znat' szto gołoda nie znakomy.*

- Bo w Polsce głodny chodził tyko hultaj i nierób. Wszyscy pracowali, nie patrzyli za cudzym!

- *Znaczyt my zdieś pryjechali po czużoje?*

- *Czto wy? Eta wsio dla was* - pokazał ojciec rękę za okno - *Boh wam dał. Wsio wasze!*

Ruski spójrzył na jego spode łba i zasyczał:

- *Ty toże nasz... kak etoje miaso na twaich kalienach.*

Znowusz ja zaczął ykać, żeb się od ojca had odczepił. Staneli i wypuścili mnie w krzaki. Ale nazad nie dali mnie do szoferki wsiąść, tylko na pake do sołdatów.

Ojciec mnie okrył swojo jesionko. Miesiąc nie przeszed,

jak jo matka z pocztowego, sukiennego płaszczu przenicowała, że była jak nowa. A tu na jej brązowe plamy krwi. Szkoda palta.

W Supraślu wysiadli. Ojciec mięsa nawet do chaty nie wnios, tylko sąsiadu oddał. Ten za trzy dni przychodzi do nas i przynosi garszczek duszonego mięsa.

- Niechaj pokosztuj. Jasna cholera, trzy doby mięso na płicie stoi, a wszystko je butami słycać. Tak jakby moja kamazy warzyła.

- Niechaj da *soldatom* - wtrąciła mama. - U ich *wsio wku-sna...* Zjedzo. Welna nie welna byle kiszka pełna. Wszystko wtrynio.

Żołnierz tylko patrzy gdzie co podiwanić

Taka już widać u żołnierza natura. Sąsiadka poprała dzieciacze łachy, rozwiesiła na sznurku, żeb schli i wróciła się do chaty po miske z pieluchami. Trzy małe córeczki w chacie, to i lać było komu. Nadeszed sowiet, pozbierał wszystko ze sznurka w powłoczke i żnik jak duch. Ta pieluchy wynosi... gdzie rzeczy podzieli się?

A rzeczy na kwaterze żołnierz dał dla kolegi, żeb poszed gdzie sprzedać. A gdzie dzieciacze ubranka sprzeda? Tam gdzie dzieci jest. Patrzy, na podwórzu pieluchi się suszo. Zachodzi do chaty i prosi:

- *Chazajka pakupi. Ja odzieżonka dla dzieciat imieju.*

Kobieta oczom nie dowierza. Koszulki, kaftaniki, czapeczki... wszystko jej.

- O żesz ty złodziejska mordo! Skurczybyk okrad, jeszcze mokre *odzieżonka* przynios mnie sprzedać!

Jak się nie rozedrze na cało ulice.

- Baaaaaby! Baby chodźta raz tu! Wszystkie chodźta! Pomogo złodzieja łapać!

Sąsiadki się zleciały i dawaj bolszewika w obroty brać... Ten ze strachu w sławojce się skrył i drzwi za haczka trzymie. Kobiety od podwórza kołem je podparły i majo hada... jak w areszcie. Sowiet od strachu takiej trzęsączki dostał, że sraczyk telepać się zaczął. A tu co i raz nowe baby przychodzo i kombinuj, co dla jego zrobić. Jedna poradziła słomo obłóżyć, upiec skurczybyka. A dużo babom trzeba? Już gałęzie ciągn, jedna kul słomy niesie... Kiepsko to zaczyna wyglądać. Żonka Akureńki woła: - Baby... dawajcie żabiemu ogieru pacieroby wycierobim! To ten samy, co się do mnie nad rzeko dobierał!

Drugie mówio.. trza łobuza do sraczyka... utopić i nie znajdo hada... I takie tam jeszcze rzeczy kombinowały... że z sowieta zostały się dziurawy kadłubek.

Szczęściem dla bab, nie dla sowieta... co ze strachu krasnoarmiejca mundur pohańbił, stał niedaleko na kwaterze oficer z rodzino i ten jego z babskiej niewoli wyswobodził.

Inkluz - czyli buty co się wracajo

Kupił Chyżeńki od sowieta juchtowe buty z cholewami, prawie nie noszone. Skąd je sowiet miał, kiedy ich oficerzy w ceratowych paradowali? Licho wie. Na oko się prezentowali nieźle.

Wyglancował je Chyżeńki sanacyjno pasto do butów „KIWI”, wełniano skarpetko wypucował i postawił za kozetkę w paradnym pokoju. Niechaj pobędo sobie tam do jesieni.

Za godzinę idzie oficer i prowadzi żołnierza bez pasa. Wchodzi i odraz do Chyżeńskiego...

- *Eta swołocz gawarit czto prodał wam sapagi. Palkowni-*

ku ukradł i wam sprzedał. Znajecie czto za eta... dla jewo sud i razstrel, a wam Sibir i tiurma. Gawaritie gdzie sapagi?

Chyżeńki ze strachu cały spotniał, słowa dostać z gardła nie mog, tylko głowo kiwnoł na drzwi do paradnego pokoja.

- *Iszczy!* - rozkazał strażnikowi, co cały czas trzymał złodzieja pod karabinem.

Soldat nie szukał długo. Wsadził łeb do pokoja... a tam zza leżanki wystają wypucowane cholewki i błyszczą na cały pokój wesoło, jakby wołali: „*Pasta kiwi but ożywi!*”

Wziół buty, do tego flakon w kształcie lwa, pusto cukiernice ze stoła, futerał od okularów, popielniczka kryształowo, porcelanowego pieska z etażerki, portfel dziadka Telesfora zza obrazu. A gdzie to pomieścił? Bóg raczy wiedzieć, bo jak wyszedł, to po im nic nie było widać. I poszli w drugie miejsce nowych durniów szukać.

Nie szukali długo, opyli zare po sąsiedzku. Buty byli dobre, niedrogie, to i miesiąc po Supraślu chodzili. Na koniec na ulicy zakładali się - komu je znówus sowieci opyło?

Kto ich w Supraślu na swoje kulasy nie wzuwał? Tera mało kto się przyzna, jak z jego ruskie durnia zrobili, ale sporo by ich w mieście naszęd.

Jak już ponabierał się kto mog, na koniec sowietom oszukać się przyszło. Bo koniec wszystkiemu przyjść musi. Buty sprzedali takiemu, co tu do rodziny z Sidry przyjechał. Pobył w Supraślu godzinę i jak do jego kuzyna z butami przyszli... kupił, siad na fure i nazad do Sidry pojechał. I tyle jego widzieli.

Prowierka dokumentów

Był taki wtedy czas, że ludzie całkiem podurnieli. Musiał nie musiał, całymimi tabunami w te i nazad przewalali się przez

Supraśl. Jedne na wschód od Niemca uciekali, drugie na zachód byleby dalej od sowieta wyzwoliciela. Kto tu miał krewnych zostawał przeczekać najgorsze, przez co po chałupach strasznie ciasno porobiło się. Spali gdzie bądź, jak śledzi w becze na podłodze słomo popruszanej, żeb się choć zdało, że nie na gołej ziemi leżą. A do tego jeszcze największe pokoi sowiet na kwatery zajął.

Na to nędze złodziei, w torbe biedne, wyglówkowały nocno służbę „*prawierku dokumentów*”.

Jak po chatach już wszystkie do spania ułoży się i światła w oknach pogaszo... kiedy oczy kawalerskie zapluszczywszy zasynajo, a pod powieko pierwsze świńskie obrazki przedstawiać się zaczęto... wlażo do chaty i na cały ryj wrzeszczo:

- *Prowierka dokumentów!*

Każdy musi wiedzieć, że sowiecka władz pamięta o im w dzień i w nocy i ani przez chwile nie zapomina i na mgnienie z oka nie spuszcza.

- *Prowierka dokumentów! Wstawaj! Ano bystra! Wstawaj!*

Budzo się wszystkie, sięgajo do portfeli, po ubrania. Odraz widać, kto i gdzie walory chowa. A przydzie pięć, sześć żołdatów z żołnierkami. Niby patrzy, czy się fotka z gębo zgadza. Świeco po oczach latarkami, aż wszystkie poślepno jak krety.

- *Bystra, bystra dawaj! A wy adkuda zdieś?! Eto wasza snimka? Ej babuszka kakaja wy krasawica byli? A tepier sztoż? Tfu! Kakaja staraja bladź!!*

Wrzask, harmider... ludzie wystraszone... nikt nie patrzy, co się po stronach dzieje. A tam opróżniają kiseni, portfeli czyszczą, zaiwanają co się da i ładują za karmany.

Na ranku wstajem... Ten tego nie ma, temu tego brak. Kiedy sowiet latarko świecił po oczach, sowietki z łachów brały co się dało. Specjalnie łase na jedwabno bielizne, bo tego nie znały wcale.

Fotoczasy'

Nasze na rozmaite sposoby też odkuwali się na ich. Niekiepsko komedie z sowietami fotograf odprawiał.

Do wojska służyć tu rekrut z całego sojuza jechał. Przywozili ich do Supraśla z Białegostoku ciężarówko. Na rogatkach wysadzo, ustawio czwórkami i prowadzo przez miasto z to ich *Katiuszo co na bierieg wychadila*. Uszy od tego puchli. Po dziś dzień, jak *Katiusze* słysze, to mnie nytko się w środku robi.

Ido ulico, w rękach, na ramionach walizki, czumadany, zielone kufarki jak za cara. Ido w butach z cholewkami, trzewikach, wykłyndanych trepach, łyeczanych łapciach, w owijkach oborcami zawiązanych. Ido w białych koszulach haftowanych pod szyjo, granatowych spodniach, czarnych marynarkach. Na czubku głowy ich czapki dziobio niebo lakierowanymi kozerkami. Spod kozereków wyglądają żółte i ryże pukli włosów.

Wchodzili w klasztorno brame i nikli do pierwszej przepustki. Tam z ich wojsko robili. Pukli włosów do śmieci, łby obryte na łyso... Na grzbiet stare, sprane, wylatane mundury. Kiepsko się to wojsko prezentowało. Jak już ich puścili na miasto, to gdzie mogli w Supraślu iść? Do lasu i na rzekę... się utopić?

Ale matce gdzieś tam pod Uralem, narzeczonej, kolegom z wioski trzeba się pokazać... to szli do fotografa. Ten ich niekiepsko z pieniędzy obierał. A gdzie mieli ich wydać... Polskie sklepy się skończyli, w sowieckich kooperatywach tylko konfietki byli, takie twarde poduszeczki.

Najwienc kosztowali fotki z zegarkiem i im zegarek większy tym fotka droższa. Fotograf miał kilka zegarki, między imi austriackiego buksiaka, małego budzika, i tego najwienc ruskie lubili.

Posadzi sowieta na taboretce, budzika do garści przywiąże. Pięść pod brode podsunie, żeby się dobrze na fotce zegarek prezentował... I pstryk, pstryk i rubli leco... I tak każdy na fotce z ręką pod brodo siedzi zegarka pokazując. A ten tylko następny i następny... Wychodzą na ulice, fotki sobie pokazują, cieszą się. Choć trochę się na ich nasz fotograf odrobił...

Widział kto żeb z raju listy pisali

Towarzyskie spotkania z żołdatami odbywali się co sobotę na „*tancplaszczadkach*”... miejscach, gdzie do tańca grał wojskowy „*duchowej orkiestr*”. Były to sprawy między chłopami z babami i o żadnej polityce nie było mowy. Zwłaszcza za drugiego sowieta... trochę się supraskie dziewczyny z bolszewikami ciągały. Chodzili na most, tam gdzie wuj Srajdka z ważnej placówki przegnał. Niosło wtedy rzekę zamiast o „fabrycznej dziewczynie”, sowieckie czastuszki:

*Samalot letit wsio klubkom klubkom
A moj milenkij z załatym zubkom
Samalot letit krylja papiernyje
A u milawo glazki niewiernyje*

Przez te niewierne glazki dla niektórych przygodziło się kiepsko ... ale co sobie pośpiewały, to pośpiewały.

*Ja Iwanka tak miłuju
Gdzie zejdu sia tam cyłuju
Bo ja mamy ni baju sia
I z Iwankom zapiszu sia*

Zapisały się urzędowo do ślubu i wybrały za swymi orłami i lwami do rajy. Musi dobrze trafiły, bo wszelki słuch po ich zaginął. Słyszał kto, że z rajy listy pisali?

Krosta szeregowca Kapłana

W sieniach naszego domu stał wartownik. Pilnował pokoju, w którym spali bajcy. Czego on tam pilnował? Słomy i wszów w jej łażących? Zawsze ten samy mały, chudzieńki, zgarbiony i żółty jak świeczka Żyd, Kapłan.

- Jak on do wojska się popadł? Musiał ktoś jego bardzo nie lubić, bo na oko widać, że ten człowiek z łyżko jeszcze sobie uradzi, ale dać dla jego karabin? Duśliwy taki... miał bardzo mocno astmę. Na gieroja on mnie w żadną stronę nie podchodził.

W sieniach ciemno jak w grobie... bo tam okna nie ma. Światła znowu wypalać mama nie dała. Zabrała żarówkę, bo kacy za prąd nie płać. Co przyniosło nowe i wręco, to my ją na spalono wymienim. Aż oficer uwierzył, że ruskie żarówki są gorsze od polskich, przez co ucierpiała jego komunistyczna duma i za to w sieniach Żydowi nie dozwolił stołka postawić.

No to Żyd cały czas siedział u matki w kuchni przy oknie i gadał, gadał, gadał... gęba się jemu nie zamykała. Jedne oko miał za oknem na ulicy, a drugie niszczyło po garszczkach na płicie.

- Nu... pani Helena, Kapłan to ja po rodzinie, a po zawodzie krawiec... męskiej krawiec. Jeśli Kapłan ma potrzebę uczciwie szyć, za uczciwy rubelek... to on się tam nazywa romantyk. A tam romantyk to trup, to wisielec. Ale on jest szczęśliwy, że po rodzinie jemu Kapłan, bo jakby on po rodzinie był Krawiec, to jako kapłan byłby wisielec. A tak się Kapłan mo-

że zostać wor... jak co bez pozwolenia uszyje. A szyć bez pozwolenia to jak ukraść. A zawsze lepiej żyć jak Kapłan złodziej niż nie żyć jak Krawiec wisielec.

Mama postawiła przed nim arbate. Siornob i dalej swoje...

- Nu pani Helena, czy się ktoś jego pyta, gdzie on chce żyć? Dobrze, że pytają, czy Kapłan w ogóle chce żyć?

Gdyby on tylko szły i nie był romantyk, to on by tu był z karabinem. Ale on się boi, że to wystrzeli. I dlatego on woli igła co ukłuje, do krew... ale nie robi wielkiego hałasu.

Gdyby on był nie taki zwykły Żyd, gdyby on był Żyd modern, to on by był polityk. Jak Kapłan byłby modern, to siedziałby w pałacu za biurkiem i byłby oficer i wielka świnia. Ale władza. Nawet jeśli taka władza się nazywa Sobakin.

Pomilczał trochę, popatrzył za okno, siornob herbaty i gadał dalej.

- Nu pani Helena... gdyby Kapłan był Sobakin, to i tak ta władza wyżej w jakiś piękny poranek się spyta:

- Czy wy Sobakin chcecie jak krawiec żyć? - Po co wam tyle żyć?

I wtedy Kapłan uszyje najpiękniejszy w życiu ancug... dla siebie. I weźmie sznur i pójdzie na strych...

Mama jemu coś z jedzenia da, że chodzi trochę gębe zatknął. Nie lubiła, jak ktoś przy niej po rusku mówił. On zresztą się spostrzegł i raczej gadał po polsku. Chyba że był głodny, wtedy zaczynał po rusku.

Jak się obejrzy, że *kamandir idiot*, to na kolana i chodu z kuchni. Żeb jego oficer przez okno nie wypatrzył, uciekał na czworakach, wlokł za sobą karabin, stołki wywracał i chował się w sieni. Przykro było patrzeć, jak taki niegłupi człowiek ma cykora przed durniem. Jeszcze oglądnie się i powie drzwi zamykając:

- *Uchazuj pani Helena, maja krosta idiot!*

Matka jego spytała sie raz:

- Kapłan, czego ty jego krostu nazywasz, on wcale gładki na gębie?

- *Nuk, pani Helena... Ruski eta krostu nie na mordzie... eta krostu na duszy. Dwie krosty w żyźni imiejiet Żyd... adźna ruska i giermanska druhaja. Katoraja balszaja? Eta zawisit...*

Uraaaaaaa! Finlandia wzięta!

Jednego razu na ranku przychodzi oficer, otwiera drzwi do sołdackiego pokoja i krzyczy:

- *Rebiata, kruczycie uraaaaaaa! Finlandia wzięta!*

- *Uraaaaaaa!* - krzyczą bajcy. - *Uraaaaaaa! Uraaaaaaa!*

Oni sie naprawde z tego jak dzieci cieszyli.

- Pies oblizał pchłe i syty. Wleźli do małego kraju jak świnią do warzywnika i gieroje - matula tylko głowo pokiwała z litością.

- Tfu! - z pokoju odezwała sie babka. - Nastali czasy ancykrysta. Żeb ich lagsa i po śmierci gnała.

Ta mała Finlandia dobre sowietom knoty spuściła. Finy na nartach obrotne, szybkie, przykryte białym prześcieradłem dojadło ich... nastrzelają, nastrzelają i nikno jak duchy.

No to na finlandzko mode ruskie swoich na nartach szkolić zaczęli. Przed wojno w Supraślu harcerzy uczyli sie z jesionu narty robić. Ruskie jedno pare nart w stodole Malewiczu wypatrzyli, zabrali i zaczęli swoich szkolić. Tu, gdzie nad Cegielnianą ulicą jest Szuchnicza góra... Żeb narty szybko zakładać i zdejmować, zamiast wiązań przybili do ich goździami walonki. I tak... wstawio bajca w walonki na deskach, prześcieradło jemu, jak u fryzjera, pod brodo związo i już Fin. Oficer klepnie jego po pagonach:

- *Nu Pietia! Dawaj w Finlandiu!*

I pojechał w dół. A do wszystkiego smykałkę trzeba mieć. Zjedzie trzy, cztery metry i laś na dupę.

- *Padniemiś!* - krzyczy oficer i bajcu matkę obsobacza. Narty ze śniegu wyciągają i na nowo. Wsunę nogi w walonki, klap po pagonach:

- *Dawaj w Finlandiu!*

Całymi dniami my na Brzozówce słyszeli:

- *Padniemiś! Dawaj w Finlandiu! Padniemiś! Dawaj w Finlandiu! Padniemiś! Dawaj w Finlandiu!*

Jak który zjechał na dół nie hamując zadkiem, a do tego jeszcze ustał na dole na nartach i nie upadł, to wszystkie na dole i na górze krzyczeli:

- *Uraaaaaaaaaa! Finlandia wzięta!*

Uraaaa! Pariiiiiiiz wzięli!

Po enkawudzie stali w klasztorze motocykliści i czołgiści. Latem zaczęli sie szkolić z jazdy... na roweryku. Jak już jechał poradził i nie spadał z rowera, sadzili jego na motor i do czołgu.

Wyżwirowali przez łąkę dróżkę aż do rzeki i uczyli na jej jeździe. Dróżka kończyła sie na „Kręciołce”, a tam głęboko na orelsko tyczkę było. I tam sowieckie cyklisty kończyli jazdę.

Wsadzo żołnierza na siodełko... żeb nie upadł trzymają za paskę. Bajec pedałuje ile ducha w piersiach... nogi jemu ślizgają sie na pedałach... a drugi biegnie i pchnie. Na koniec puści. Bajec skrócić nie poradzi, ustać nie potrafi... no to jedzie prosto. Oczy zamknie, kierownice w rękach ścisną i pedałuje co ma sił... i we wodę... babuch!

Soldaty sie za ręce pobioro i wyciągają sowieta z rzeki... bo mało który pływał. A roweryka dostawali z wody za linke. Uwiązali do siodełka kilkanaście metry linki i ta sie ciągnęła

za rowerykiem. Kiepsko miał ten co pchał... jak na linke nadepnoł.

No, wydostano roweryka i apiać od nowa. Który szczęśliwie skręcił albo przed wodo sie wykopyrtnoł, że nie musieli po jego do rzeki wchodzić, to krzyczeli:

- *Uraaaa! Pariiiż wziali!*

Mieli Francuzy szczęście, że te gołodupcy na rowerykach do Paryża sie nie wybrali. Jak ich Niemcy w czterdziestym pierwszym napani... to czołgi, samochody, tankietki, traktory tarasowali cały Napoleoński Trakt. Motocykli zostali sie w Supraślu, bo nawet do ich nie mieli bienzyny. A Niemcy na ich paliwie pod Moskwe pojechali. Już niemieckie samoloty bomby na Białystok rzucali, a te jeszcze cysterny z bienzyno na granice Niemcom pchali. Ot, solidne kupy.

I w co tera całować?

Sowiet to dziwny człowiek. Mało taki co widział, bo go pod kluczem trzymajo, ale wiedział wszystko. I co dla jego przetłumaczysz... zare idzie pytać sie politruka, czy to prawda... jakby własnego rozumu nie miał. A co politruk powie, to święte. Wszystko co sowieckie najlepsze, największe! A my śmieli sie z ich i dodawali... - u was wsio najdłuższe, najgrubsze.

Pójdziem pod kirchie... co w jej kino sołdackie zrobili, bo czasem dali popatrzeć. Wartownik chodzi i pilnuje... choroba wie czego? Ale jak naczałstwo postawiło... to znaczy, że pilnowanie jest śmiertelnie ważne.

Staniem suprasko szujo pod płotem i palim papierosy tak, żeb dym na wartownika szed. Podejdzie do nas i krzyczy:

- *Uchadzicie ad siuda! Bystra! A nie, to strelat' budu!*

Ale tak stać... nudno i jemu. A tu dyma poczuje. Palić sie

zawsze chce. Za machorkę dusze diabłu by zapisał, a za samogonkę z babki skóre na bęben by sprzedał. No... zacznem do jego gadać... damy zakurzyć. Henio z podstępno mino pyta:

- Iwan... a kościoły takie - pokaże na kirchie - u was jest?

- *Byli.*

- Jak, byli... to teraz nie ma?

- *Nie ma. Boh tolko tiomnym ludiam nužen.*

- A dzwony ? No, kałakoły byli?

- *Byli. Miednyje byli.*

- A tera nie ma?

- *Nie ma.*

- I krzyży nie ma?

- *Kanieczno.*

- To w co tera bedzieta całować? W dupe Stalina?

Sowiet złapał karabin, zarepetował. My do Saskiego Ogrodu...

- A na pogrzeb Stalina to jajcami zadzwonicie! - wrzasnoł Henio z krzaków... uciekając. Ten dureń dawaj strzelać, tylko kuli nad uszami świszczeli. Młode byli, to i durne.

Koniec pierwszego sowieta

W czterdziestym pierwszym przyszed na sowieta koniec, a dla nas radosna przykrość witać za oswobodziciela Niemca.

Ale na odchodne ruskie basatyki podpalili klasztor. Palili sie dobrze, bo w Pałacu Opatów byli izby żołnierskie, a w ich drzewniane pryczy i sienniki słomo napchane. Pożar zgasili supraskie strażaki.

Na nieszczęście przyplątał sie ostatni oddział ruskich pograniczników... i znowusz podpalili klasztor. Tym razem część Zacherta zhajcowała sie doszczętnie, po brandściane

odgradzając od części salezjańskiej.

W mieście, pod budynkiem kolonijnym „Przystani”, stał na warcie Kałmuk i pilnował. Nic nie jad, nie spał? Ile tam stał? Licho jego wie. Może dobe, a może i dwie, bo zasynał stojąc. Pod brode sobie karabin podstawił, jak mu sie oczy zapluszczą, dziobie brodo w bagneta i sie budzi. Wołali my do jego:

- Ej! Efendi uchadzi! Uchadzi! Wsie waszy udrali! Naczalstwo udralo! Giermaniec idziot! Ubijót tiebja!

A ten bagneta do nas nastawi i krzyczy cieniutkim głosem:

- Adjadzi! Adjadzi ad siudy! Ja strelać twoja! Ja strelać twoja!

Pietra miał takiego, aż jego trzęsło. Mog skubaniec strzelić. Dali my jemu święty spokój, żeb ze strachu na serce nie skończył sie. Heniutek przynios dla jego pajke chleba, grubo smalcem posmarowano i położył na liściu łopucha. Ale zjeść nie zdążył... Niemcy nie dali. Zajechali motorem z koszem i nawet nie zsiadli... tylko skosili biedaka serio i roześmiane pojechali. Kałmuk upad na ziemie kukielko. Rzucal sie jak ryba na piasku i maleńki jakiś zrobił sie. Podlecieli my do jego. Z szyi krew leci jak z kranu. Czym mu jo zatkać? Naraz wyprężył piersi do góry, czarne oczy uciekli pod powieki i opad plecami na ziemie... i już nie oddychał.

Pierwszy raz trafiło sie mnie widzieć, jak człowiek przestaje być. Jak naraz braknie jemu jego samego. Choć niby dalej taki jak był, ale już z jego robi sie rzecz. Ze śmiercio wszystko odchodzi z człowieka.

Stalina nie zostawił, znaczy... kochał

- Kiedy Niemiec z Ruskim do tańca sie proszo, to znak, że wolna Polska blisko. Jak w tamto wojne. Pewno znowusz le-

giony powstano. A ja za stary żeb iść - niby do siebie, gadał ojciec patrząc w okno.

Jaki to dzień? Siedzieli my rano w kuchni przy stole. Na śniadanie było zsiadłe mleko z kartoflo, cybulko i skwarkami. Od Białegostoku słyhać było wybuchy. Na początku myśleli my, że to sowieckie maniobry. Aż przylata Heniutek z miasta i mówi:

- Tatku! Sowietka szlag trafił, z Białegostoku przez Supraśl uciekajo.... Pod wiljo Lewita w te i nazad w gaciach latajo, aż sie bialo jak od śniegu w zime zrobiło.

- Umrzyki w gaciach latajo?

- Widać nie takie chore jak latajo, a nie w łózkach lezo?

I prawda. Rozlecieli sie po lesie. Na jutro Niemcy na ich polowali i grzebali za Święto Sosno.

- Ech bedzie jak za marszałka - westchnoł tatko. - Szkoda, że ja za stary sukinsynów lać.

- Ścichni, stary durniu! - zdenerwowała sie matula. - Słyhać hadko. Ja stary... za stary... Ty sie ciesz, że iść nie musisz.

Mama wyszła do sieni. Słyhać, jak do pokoju Frołowa drzwi roztwiera. Tak zawsze had pilnował zamknąć, a tu roztwarte zostawił? Musi prysnoł bez dowidzenia.

- Ojciec! Ojciec, chodź raz tu! - zawołała mama.

Polecieli my wszystkie. Patrzym... rzeczy lezo po całym pokoju. Toż to magazyn nie mieszkanie. Czego on tu bez rok nie naciągał... i nic nie zabrał? Tylko z paradnej ściany żnik ojczulek Stalin.

- Zobacz matka, Stalin też zwiął - ucieszył sie ojciec pokazując na tapecie ślad po obrazku.

- A pamięta, jak Frołow jego wieszal?

- No. Zdjoł Matke Bosko, powiesił swojego świętego, stanął na bacność, wypioł pierś i powiedział: „gdzie on, tam i ja, wo dwajo pa wsiegda!”

- Ot had... Hela. Cichcem sie wynios.

- Ale słowa dotrzymał i Stalina nie porzucił.

- Stalina wziół... za to Hitlera nam zostawił.

Nad łóżkiem, groźnie wybałuszając oczy, patrzył na nas wycięty z gazety Hitler.

- Kaźmierz - pociągnął mnie za rękaw Henio - spójrzy ... zasmarkał sie, że świeczki jemu z nosa wiszo.

Prawda, na fotce, choć Hitler patrzył groźnie, groźny nie był... z nosa wyraźnie mu fluki zwisali. To jak sie takiego bać?

- Stalina ze sobo wziół i moje dwieście rubli, co pożyczyl, też - zmartwiła sie mama.

- *Piszy prapalo, miał hroszy no wywiało* - skwitował ojciec. - Co z ich za ludzi? Stalin jego za trzy kartofli przesładował, a ten swego kata, jak garbaty garba wszędzie za sobo taszczy. Możesz to matka pojąć?

- Bo to prawdziwa miłość, na dobre i złe. Ot, weź Chyżeńkie... Czemu wienc Chyżeńki babe łostoży, tem ta jego więc kocha. No?

Mnie sie widzi, że Stalin do serca Frołowa przez żołądek trafił. Jad kiedy skurczybyk w sojusie tak tłusto jak w „*hałodnoj Polszy*”? A kto jego wysłał tu panem być? Ojczulek.

Księżyc z węsami Stalina

Pierwszy swobodny wieczór nadeszed. Niebo po przeciwku czerwono błyska w szybach, całkiem jakby sie sąsiadu chata we środku paliła. Już fest pociemniało... zare zza Sobaczkiej Górki łysy wyglądnie. Babka mówiła, że plamy co na im so, to Kain Abła do księżycy przyszpilił i na widłach trzyma. Ale nie temu nie lubie księżycy... nie lubie za te plamy na im, co mnie na wasy Stalina podchodzo.

A wszystko przez Frołowa i jego babe sanitariuszke, gru-

bo Sońke z sanbatu, co na jo wołali „*Krasiwaja noga*”. Sońka miała nogi grube, odmrożone, *krasne* jak u bociana i nic w ich nie było *krasiwego*. Przez te czerwone nogi Frołow nazywał jo *Ajstowna*.

My szczuny lubili latać na „słodko dróżke” i na tartak Chazana pary podglądać. Raz podeszli z Heniem Frołowa i Sońke w deskach na tartaku. Sońka siedziała na stercie obrzynów w narzuconym na ramiona różowym swetrze ubadzianym w żywicy i traczowinach. Frołow siad trochu niżej, głowę położył jej na brzuchu i mrucał zapluszczywszy oczy.

- *Ech... maja ty Ajstowna, sołnyszko ty majo...*

- Spóźnili my sie, Kaźmierz - wyszeptał zawiedziony Henio. - Już po capszyku.

Sońka Frołowa carapie pazurami po wyliniałej czuprynie i mówi oczy spuściwszy, jakby sie czego wstydziała:

- *Szto ty... Wasia... kakoje ja sołnyszko? Nasze sołnyszko eta Ilicz, atiec nasz daragoj i mat' radnaja. Onze sołnyszko...*

- *Oj miła maja... oj dura maja.* - I po żołniersku, zdecydowanie zakończył - *Kak gawariu sołnyszko, to sołnyszko! Panniatna?*

- *Tak toczno!* - wrzasnęła Sońka i szybciej carapała Frołowa za uchem.

- *Nu* - powiedział na zgode Frołow i spytał Sońke - *a kakoje sołnyszko Ilicz? On ze miortwiec!* - Podnios głowę, spójrzył Sońce w oczy. - *Nu ładna... gawarisz sołnyszko Lenin... to kto takoj Stalin? Miesiac a cha, cha, cha* – zarechotał.

- *Jej Bohu!* - ucieszyła sie Sońka. - *Ty prawdu skazał. Miesiac! Stalin eta miesiac. Smotri kakije u jego dlinnyje usy.*

Tu Sońka pokazała palcem na bladzieńki księżyc, co jak-ras nad Psiaczo Górko zza siniej chmury sie wynurzył.

Spójrzeli i my z Heniem na to srebrno patelnie... Jakaż tobie cholera? Może mnie sie przydało? Spójrzył ja jeszcze raz... A niech cie choroba... prawda, „łysy” ma wasy. Takie

same jak ten z fotografii nad łóżkiem Frołowa. Stalin. Tfu! Zaraza na jego łeb!... Co mnie naszło złego ducha po nocy spominać? Od tamtych por nie lubie księżycy... i już.

Nam zostawiali swoje groby

Uciekając od granicy lejt'nant pograniczników zbierał po drodze maruderów. Jak który nie miał broni, całego munduru, papierów, to dostawał kulke. W Studziankach po portkach poznali, że to nie chłop na podwórzu drzewo rąbie, a zadekowany u studziańskiej baby ruski oficer. Zastrzelili jego pod Zapieczkami.

Za Podsupraślem zrobili zasadzke na niemiecko kolumne. Spalili cztery samochody i zabili ze czterdziestu żołnierzy. Niemcy ostrzelali ich z dział, co stały przed mostem. Traf chce, wcelili dowódce. Nic z jego nie zostało sie.

Z zemsty za lanie Niemcy, pod dymiącym ciągle klasztorem, cały dzień strzelali ruskich jeńców. Zabijali jak zwierzaki i rzucali w kloaczne doły. Z czterdzieści... albo i wienc ludzi zamordowali.

Po wojnie sowieci ich nie zabrali, bo to *plennyje*. Jak od dał sie w *plen*, to znaczyło... zbuntował sie przeciw władzy. A bunt to najcięższa zbrodnia u sowieta. Znaczy sie... jeniec to nie człowiek. I te buntownicy po dziś dzień leżą za klasztorem przysypane paru metrami gruzu z bazyliki.

Koniec lejt'nanta Jakubasowa

Za pruskiego czasu, papież w Supraślu dał uniatom biskupa i zarządził, że każdego, kto klasztor zniszczy, siło zajmie czy w im sie samowolnie rozpanoszy... spotka kiepska dola.

Sowieci uciekali z Białegostoku Baranowickim Gościńcem. A że nie mieścili sie, wypełnili i cały Napoleoński Trakt.

Supraskie sowiety dołączali do ich drogo na Krasny Las i Lipowy Most.

Niemieckie samoloty ich wysledzili i strasznie zbili na Napoleońskim Trakcie. Na jutro poszli z kolegami popatrzeć. A tam jak w taniej jatce. Wisieli na drzewach jak polci mięsa w masarni Niomki.

Lejt'nant Jakubasow, szcerniały na gębie, ten samy co krzyże na kirsie i bazylice zerznoł, koniec miał paskudny. Zutkał ja jego... Jak by tu powiedzieć... jego lepszo połowe.

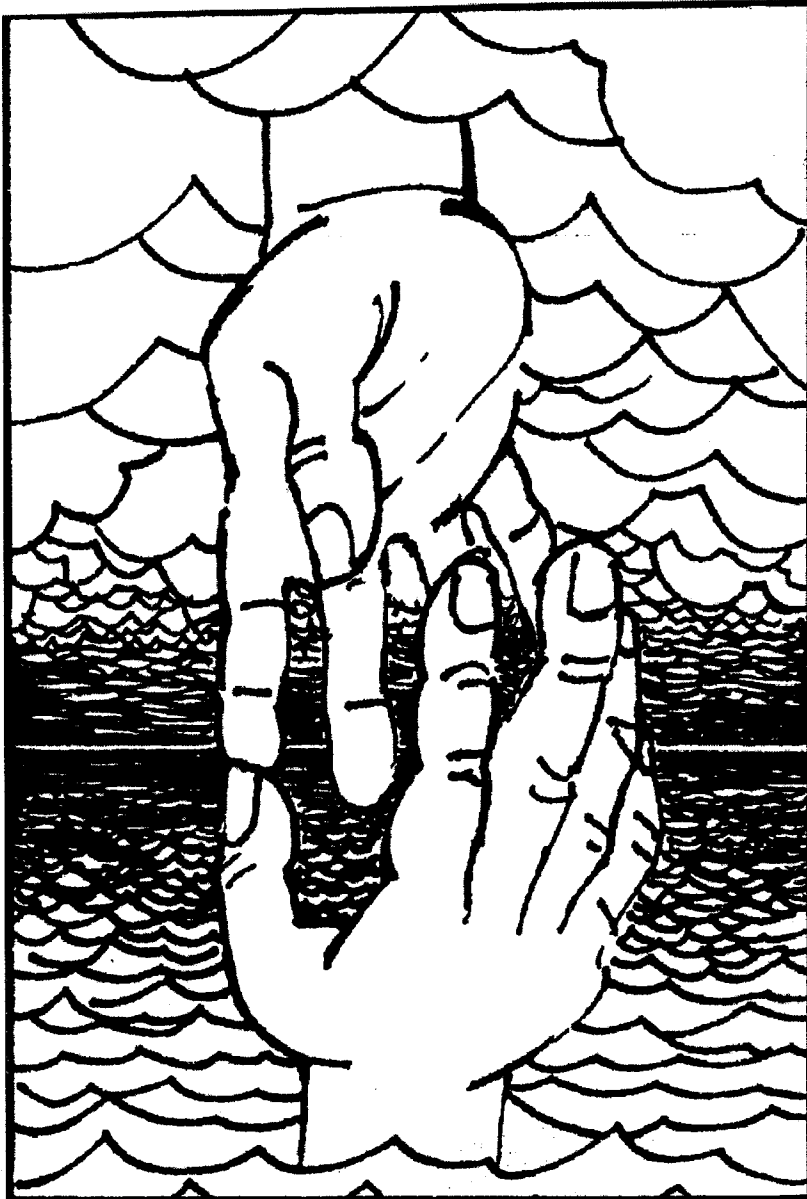
Krzyż był... co jego tam tera nie ma. O ten krzyż stała oparta górna połowa Jakubasowa. Drugiej, gorszej, od pasa w dół, nie było. Musi spacerowała gdzieś po lesie.

Chiba miał szczęście, że Bóg dozwolił jemu wojne ze sobo pod krzyżem zakończyć. Może to znak od Pana, że jemu wybacza?

Taki sobie fundowali los. Za to, co z Domem Bożym robili, własnego nie majo. Tułajo sie po cudzych ojcowiznach, komunizm i nieszczęścia jak zaraze po świecie roznosząc. Wpadno komu do chaty... garszczki przestawio, przestawio i chodu... Żnikno jak zły sen, tylko świat do góry nogami wywrócony po ich zostaje.

Tyle dobra miało sie zmarnować?

Ale też dobra po ich zostało... Naciągali sie ludzie tego. Brał kto chciał, ile i co mog. U nas, nie powiem, naród pomyślowy i nic sie przy im nie zmarnuje. Ileż to lat po wojnie wsiowe kury i psy z hełmów niemieckich i ruskich wode pili? A sowieckie bagnety cienkie i długie... jakie z ich poręczne szwajchy świnię kłóć albo krowi łańcuch na łące przyszpilić. A jak sprytnie na pocisku kose klepać czy „na bombke” ryby łowić. A jak dobrze *hancgranatem* kartofle dla świń siekać? Albo minami staw wyczyścić? Może po wojnie nie chodzili w



Wierzchlesiu w postołach, łyczanych kapciach podszytych opono z niemieckiego albo ruskiego samochodu? Całe buty z opony poradzili zrobić. A jaka dobra guma na podeszwy z czołga była?

Za Sójko na wiosce... zakopali na podwórku tankietke i zamiast jamy na ziemniaki majo, a zamka od sowieckiej armaty za kowadło.

A ileż tego dobra, tej zmory strażaków, w szmatach i ta-wocie po stodołach, świronkach, śpichlerkach i w ziemi leży na swój czas czekając? Tylko Bóg jeden wie.

My z Heniem motora na podwórek przytaszczyli, ale nie-długo przyszło im sie cieszyć. Któryś „prydupnik” uciekają-cym pogranicznikom cyknoł i mało, a ojciec kulke by zarobił. Szczęściem samogonka była w chacie.

Zare Niemcy przewalili sie przez Supraśl i pognali na Mo-skwe, zostawiając w naszej ziemi sowieckie groby. Odetchne-li my pare dni od wyzwolicieli. Choć przez chwile same zo-stali sie w polskiej chacie, bo cykaczy też woleli zabrać sie z sowietem w droge.

Naród zaś ciągał wszystko, co sowiet zostawił. A było na-chomikowane tego dobra po lasach: od Pstrągówni po Krasne, od Krasnego po Kobyło Głowie wszędzie byli magazyny, skła-dy, warsztaty naprawcze, szpitali polowe i obozowiska. Tak do wyprawy na Europe z Hitlerem szykowali sie. W mieście też mieli magazyny, a w klasztorze był nawet sklep dla oficerów. I my z Heniem pierwsze sie do jego popadli.

Jak do sowieckiego rajy popad

Wsiem wsiewo nie chwatajet i wsiem wsiewo nie nada - mawiał nasz sublokator Frołow. Idziem z Heniem koło klasz-tora, a tu ludzie taszczo wszelkiego dobra, ciągajo co pod ręce

popadnie. Poszli i my brać. W klasztorze supraskie latajo po korytarzach w te i nazad, jakby kto im terpentyny do zadka zadał. Tarabanio, co tam komu podchodzi.

Na początku korytarza świeco obielone wapnem okna, ale dalej ciemno, że morde pobij. Potknoł sie ja o porzucony karabin... pokociło mnie na jakieś drzwi. Napar łokciem klamke... drzwi sie roztwarli i wleciał ja do raju. A tam? Wszystkiego do usioru... Sklep, nie sklep... Czego w im nie było?

Taki sklep to ja tylko przed wojno w Białymstoku widział. Na mieście w ichnich *koopieratywach* - tylko *konfietki* w dużych słoikach stali, twarde, obkaczane w cukrze poduszeczki.

- Heniu! Heniu! Dawaj raz tu! - wołam braciuka. - Heniu, uszczypni mnie, może ja nieżywy już i z nogami do raju popad!

Co tam dobra było, nie umiem powiedzieć. Widać tu, w tajemnicy przed pracującymi masami, żony oficerów korzystały z owoców oswobodzonej Zachodniej Białarusi. To byli towary jeszcze z przedwojennych sklepów w Białymstoku: i rodzynki, i migdały, nawet pomarańczowa marmelada.

Już na samym początku „raju” bolszewicy dobrze wiedzieli, że tego, co wszystkie chco, dla wszystkich nie starczy. Jak tego skąpo, to dać sie należy tym, co „raju” pilnujo. Bo to zesz i największe złodziei. Te co 7. Kombinatem supraskim kierowali, za bimber sprzedawali wszystko. Supraskie chłopcy wozili na wioski wszystko, co im w ręce popadło... kocy, przedze, farbe i materiały, całymi samochodami.

*Jedzie Zajdel samochodem
Wiezie farbe przedze sode
Raz na Janów raz na Krynki
Szukać masła i słoninki*

*Oj bieda panie Zajdel
Jaki tutaj marny handel*

*Jarmołowicz kupca szuka
Bo ma ukrainki (material) sztuka
Choć zarobek to niewielki
Kupi żonie pantofelki*

*Oj bieda bieda panie Zajdel
Jaki tutaj marny handel...*

*Samochodem Zajdel jedzie
Wozi gwoździe sznurki śledzie
Supraślanie ido drogo
I nadziwić sie nie mogo*

*Oj bieda bieda panie Zajdel
Jaki tutaj marny handel...*

*A my też tam dojedziemy
Z pustym wracać nie będziemy
Przedzę farbę wymienimy
Z mocnym bimbrem powrócimy*

*Oj bieda bieda panie Zajdel
Jaki tutaj marny handel...*

A biedny Frołow „za try kartoszki w hałodnoj Polsce” bzycał. Widać jak komu garbaty los sie trafi, to takiego i na polu drzewo przywali, taki nawet nad rzeko z pragnienia umrze. Ale dla Frołowa widać Pan Bóg był łaskawy i winy odpuścił, bo dozwolił jemu nawet ojczulka Stalina przed Hitlerem uratować.

Co większe jak wesz, to bierz

No i po ciężko chorobe ja durnia Heniutka zawołał? Jak ten zobaczył tyle dobra, to zamiast drzwi zaprzeć i w cichości sie radować, wyleciał na korytarz i drze gębe: - Ludzie! Ludzie chodźta tu! Co tutaj dobra wszystkiego jest!

Zapomniał dureń, co Frołow mówił: *dla wsiech nie chwa-*

tajet. Jak ta tłuszczą hurneła i w *try miga* rozdrapali wszystko. Nawet nie zdążyli sie dobrze rozeznąć, co tam było. Ledwo trochu oleju naleli w znaleziono bańke i w płachcie mydła nabrali. Tyle odkrywcy zataszczyli zdobyczy do chaty.

Gdyby to popełnili przed wojno... oj, dałby nam ojciec żaru. Nagnałby na zbity łeb z chaty razem z trofiejami. Starczyło, że trochu sowiet pobył w Supraślu i migiem nam duszy odmienił. Nawet ojciec, jak zobaczył daremne dobro, co jego syny do chaty przytargali i posłuchał jak było... zrużał Henia, że dureń, bo drugich wołał. Od tych por zamiast "nie rusz co nie twoje" zaczęli supraskie mówić "co większe jak wesz, to bierz".

- Czy jest, Panie Boże, coś gorsze jak po cudze ręce wyciągać?

- Jest, Kaźmierz. Jest. Rękę na matkę albo Ojczyznę podnieść i do złego się łaszczyć.

Jak w Supraślu pojawiły się niemieckie żandarmy, pierszo rozwiesili na płotach zarządzenie, w którym nakazali zdać im całe mienie posowieckie. Kto sobie co po bolszewikach zatrzyma, zarobi kulke. No to my z Heniem wieczorkiem zapchali cichcem motora na starorzecze i utopili.

Kobiety nie bij nawet kwiatko

Po ruskich Niemiec zaczął nas strugać na swojo mode. Wydał prawo, żeb każdy jasno znał, co wolno, a czego nie wolno. Wolno było oddychać, a za to, co nie było wolno, ogłosił jedna kara... kulka. Ukrad konia... kulka. Żyda chował... kulka. Radia słuchał... kulka. Drzewo z lasu wioz... kulka.

„Perełki” tatko wtrząchnoł trochu swojej babie na boki i ta durna poleciała do żandarmów. Jej sie zamańilo, że to jak przed wojno... poleci na policje... te trochu durniu wlejo i na

CZAS ŁADU



jakiś czas uzdrowio rodzinie.

I nie powiem... Niemcy jo wysłuchali, nawet pofatygowali się do chaty. Tam dali chłopu na goło dupe trzydzieści pył. Odchodząc kazali jemu klęknąć i na podziękowanie po rękach całować. Tylko żandarmy wyszły, stary do jej:

- Cholerna babo, to że ja portki przed imi spuszczał... przeżyje, że goło dupo przy dzieckach świecił... przeżyje, ale że przez ciebie, stara cholero, szwaba po rękach całował... tego tobie nie odpuszczę!

I jak jo nie laśnie... Znowusz jej dał... no, ciut za bogato. Ta poleciała do Niemców, pokazała im sińce pod oczami. Tym razem pofatygował się sam szef żandarmów, Materna. Wyprowadził jego z domu i poszli na zukos koło cmentarza. Po przejściu strumyka strzelił winowajcy w głowę i zrobił babę wdowo. A wszystko na to, że jej chłop po śmierci wiedział, że kobiety i kwiatko łostożyć się nie godzi. O, jaki akuratny naród.

Niemce lubiły porządek... nie powiem... nadzwyczaj. Jak wasilkowski *amstkomisarz* z bryczki zobaczył chwasty pleńiące się na polu, to specjalnie zawracał do Studzianek, pytał, czyje to pole i własno ręką dawał dla niechlujów pół setki bizunów. Lał, aż się zmachał, spocił i przeziębził. *Amstkomisarz* był bardzo pracowity człowiek, choć przyplacił to zapaleniem płuc.

Zastępca komendanta Materny, Krauze, trzymał w szafie kolekcje: pietnaście pejczy, batogów, bizunów i chętnie je wypożyczał kolegom. Najczęściej z kolekcji korzystał Frajta, o ile nie używał rewolwera. W imię niemieckiego *ornungu* zamordował Malewicza, Zalewskiego, Wysockiego, Malendę, Jankowskiego i kilku kryjących się po lasach Żydów.

Żandarmi siedzieli na posterunku, za betonowym bunkrem. Między ludzi szli, kiedy im trzeba było kogo areszto-

wać, napić się bimbru czy wymusić na handlarzach trochu chabaniny dla rodziny, bo w faterlandzie z żarciem było kiepsko.

Kulturalny człowiek nie wali niewolnika w gębę... goło ręką

W majątku Zacherta założyli SZKOŁE DOJENIA - MELKERSCHULE, obóz dla dzieciaków od dwunastu do czternastu lat. Zabierali je od matek, zamykali na dwa tygodnie jak w kryminalne. Uczyli chodzić przy bydle, gnój wywalać i krowy doić.

Dyrektor - jak jego nazywali „Gruby Niemiec” - za byle co walił te dzieciaki w gębę, ale zawsze przódzi wyjął i założył na rękę skórzano rękawiczkę... że się nie powalać.

Na początku chcieli supraskich podszczuć przeciw Żydom, porobili ich strażnikami. Dali karabiny bez zamka i kazali te malcy pilnować. Dzieciaki wiedziały, że nie jest to gorliwe pilnowanie i co rusz który wyrwał do chaty. Żandarmy jechały na wioske, łapały szczuna i po smarowaniu nazad przywoziły. Jak nie zastali, to że liczba się zgadzała zabierali jego siostry, brata, albo jaki im się dzieciak po drodze nawinął...

Po dwu tygodniach nauki wysyłali daremno robotnika na Prusy. Tam na stacje przyjeżdżali bryczkami okoliczni bauerzy i za około 30 marek kupowali niewolnika. Macali mięśni, zaglądali do gęby sprawdzić, czy ma zdrowe zęby, że na dentyste nie wydać. Bywało, trafił dzieciak do „przyzwoitej rodziny”, ale jaka to „przyzwoita rodzina” kupuje sobie niewolnika? Za przyzwoitego liczył się ten, co dał jeść w ludzkich warunkach i w gębę nie walił. Starsze niewolniki, ponad czternaście lat, wieźli do roboty w fabrykach Królewca.



Jak to na „Litwie” było

Po tamtych czasach zostało się w Supraślu trochę listów, postkartek, zdjęć i durna piosenka przywieziona przez dziewczyny z okolic Królewca, które one nazywały Litwą.

*Postuchajcie jak to miło
u nas tu na Litwie było.
Ani chwili wolnej
niedzieli swobodnej.*

*Bo o czwartej z rana
nasza jest przegrana.
Choć masz chęć do spania
to wachman wygania.*

*Drze się wstawać i ubierać
szpadle ze sobo zabierać.
I nic jego nie obchodzi
czy kto głodny chodzi.*

*Na kolacje chleba dają
jak z zeszyta wydzierają,
marmelade czasem
i stęchło kielbase.*

*Każda krzywi się nieznośnie
bo to w gębie rośnie.
Lecz jesteś zmuszona
i żresz jak szalona.*

*Jednym to nie szkodzi
bo na randki chodzi.
Chodzi z byle jakim
najgorszym łajdakiem.*

Niemiec człek niemarnotrawny

Tylko weszli, odraz się wzięli za supraskich Żydów. Zastrzelili rabina Szlome Rabinowicza, kantora - zapiewajkę z synagogi i drugich. Na ulicy 11. Listopada mieszkał Tadej, starszy żydowskiej gminy. Sąsiad ciotki, bardzo mądry człowiek.

Dwóch takich ludzi Supraśl miał: księdza Sidorowicza i Żyda Tadeja. Jak trzeba co rozsądzić, to Żydzi często szli do księdza, a goje do Tadeja.

Niemcy wezwali Tadeja i przewodniczącego Judenratu, inżyniera Gliksmana. Położyli przed nimi swojczyk, białe, lniane płótno, zabrane gdzieś na wiosce babie z kufra i nakazali - jeśli chcą mieć spokój, z tego płótna niech zrobią woreczki i napełnią je złotem, biżuterią i dolarami. Uszyli z tego sześć woreczki. Przez miesiąc nabierają, zaniosą i Niemcy przez miesiąc zostawili ich w spokoju.

Kiedyś z ciotką i ojcem zaszli do Tadeja. Akurat był u niego Gliksman. Samo Żydzi przynieśli złote pińędzy, pierścionki, obrączki, broszki, zegarki, dolary i kładli do woreczka, w jakim mama kasze trzymała. W jego ją by lekko swoją głową wsadził... z pięć litry mieścił. I oni Niemcom, na miesiąc, sześć takich lnianych woreczki dawali.

Po miesiącu znów usłyszeli wołanie Tadeja... daj. Pod koniec gdzie się dało dolary skupowali, żeby woreczka napełnić. Cieszyli się swobodą, chociaż ostatniego grosza z nich nie wydusili. Tym sposobem, miesiąc po miesiącu kupowali życie.

Kiedy tego woreczka przy nich pakowali, Tadej powiedział do ciotki:

- Pani Irena nadeszedł nam koniec. My już nic nie warci. U nas nie zostało nic, co by oni chcieli mieć. U nas pozostało tylko życie. A co warto nasze życie? Nasze życie to kłopot. Dla nich kłopot, dla was kłopot, dla nas kłopot...

- Panie Tadej, niech pan tak mówi. Co te złodzieje jeszcze wam mogą zrobić? Obrali was ze wszystkiego... to i zostawio w spokoju.

- W spokoju? Pani Irena... pani dobry człowiek... pani mnie robi nadzieję. A nadzieję mógł nam dać Goethe, no, Schiller... Ale to nie Schiller i nie Goethe... pani Irena, to Szulc i Wolf. A co to znaczy Szulc i Wolf? To nic nie znaczy. Ale Szulc i Wolf musi mieć kogoś, kto od nich znaczy jeszcze mniej. I to na nas padł los. Jak nas zabraknie, to Szulc i Wolf znajdą was. Bo Szulc i Wolf zawsze muszą mieć kogoś od nich gorszego. Ja, Tadej, to wiem i pani Irena to wie. Dla nas, pani Irena, mało trzeba. Ile trzeba dla kogoś, kogo nie ma?

Potem przyciągnął do siebie wnuczka Ajzika, przytulił i cichutko, bez nadziei, powiedział:

- On blondynek... pani Irena... on umie nawet „Ojciec nasz”.

Ciotka nic nie powiedziała. Zrobiło się cicho. Widać tylko było, jak się boi... jak się wszystkie boją.

Wtedy mnie stał w oczach wartownik Kałmuk... co jego Niemiec zabił. Zobaczył ją jego, jak umiera, jak jego czarne oczy uciekają pod brwi. I mnie też strach wziął...

- Nu tak... ja wiem - mówił dalej Tadej - ja rozumiem... ja też nie powiedziałbym zaraz... tak.

Popatrzył się na ojca i pierwszy raz w życiu zrozumiał, że ojciec też może mieć cykora. On się bał o mnie i o mamę, i o babkę, i Heniutkę.

Tylko kota poskrzypieli i znikli jak sen

W końcu lipca około ósmej rano Niemcy się wzięli likwidować synagogę. Zegnali Żydów i kazali wynosić sprzęty i książki z budynku. Wynosili i rzucali wszystko na kupe. Pło-

mień przemielił to na szary popiół. Z ognia wylatali czarnymi wronami strony ksiąg i krążyli w powietrzu nad okolicą. Na czarnych kartkach znać było jeszcze czarniejsze żydowskie piśmo. Potem do synagogi wleli benzyny i wrzucali granaty na długich, drewnianych trzonkach.

Rankiem, było jeszcze ciemno, w Supraślu zrobił się hałas, turkotały żelaźniaki po bruku ulicy³. Maja, Konarskiego...

Niemcy zegnali furmanów z okolicznych wiosek. Żydzi, choć to taki jazgotliwy naród, cichjutko pousiadali na fure. Tylko koła poskrzypieli, poturkotali, kopyta polaskali ob bruk i znikli z naszego miasta, z naszego życia, jak mgła, co ją nad Zajmo rano wiatro rozwiewa.

Po drodze musi z połowa uciekła do lasu. Chowali się jakis czas, ale kiedy zjedli, co ze sobą mieli, sami szli do getta w Białymstoku.

Rano w Supraślu pusto, cicho i martwo. Tylko groby nowe przybyli. Za to zadowolnione Niemcy po ulicach chodzą, żydowskie domy plądrują i blombują. Co im się nadało, wieźli do kirchi i tam magazynowali. A w kirsze sortowali, przebierali i wysyłali do Niemiec albo sprzedawali.

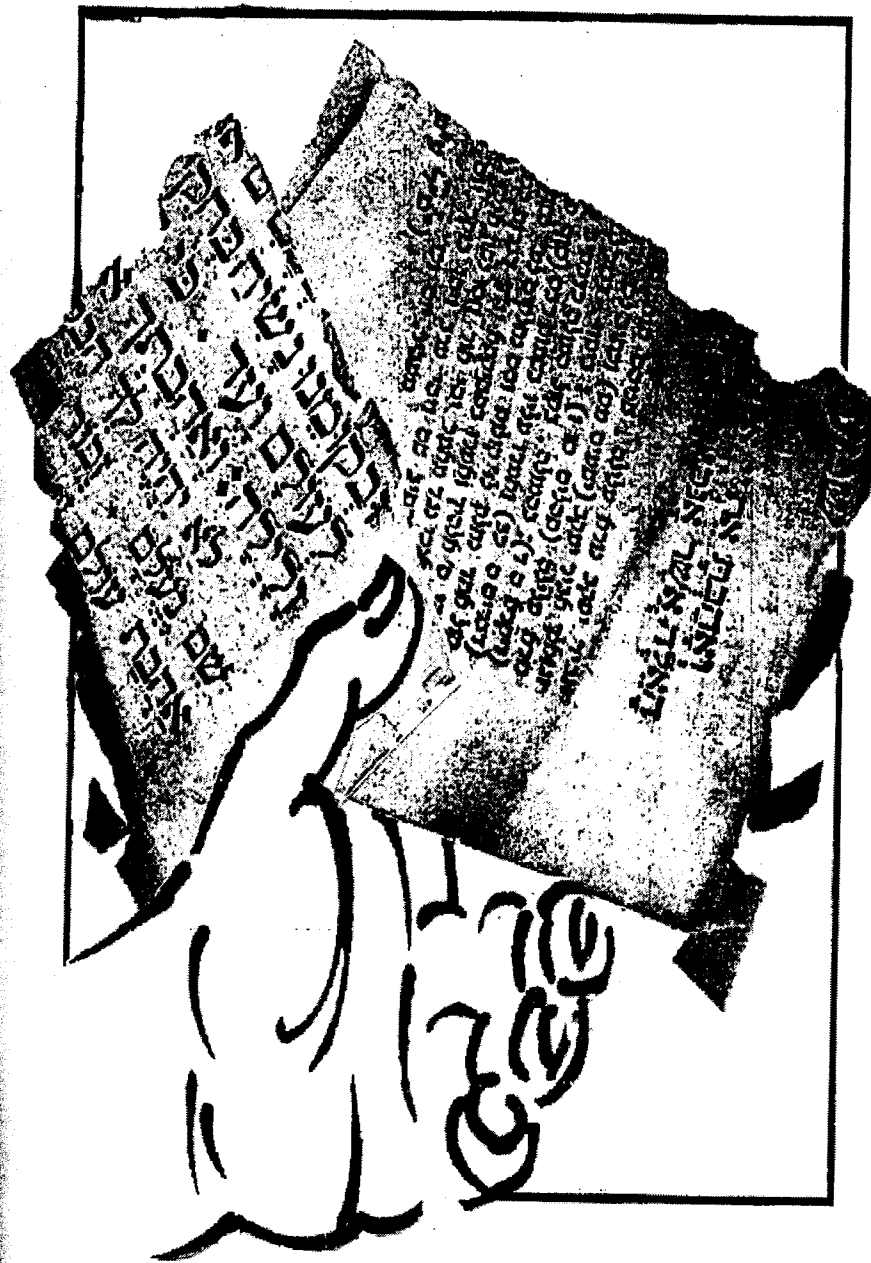
- O, to futro przyda się dla mojej Elzy.

- Gustaw! Tu masz prawie nowego rowera. Dobry prezent dla twojego Paula na urodziny.

Jak dzume cholero leczyć

Już słyhać było front. Odchodząc podpalili dużo fabrykę Cytrona i drugo, mniejszo, przy 3. Maja. Podpalili i nie dali gasić. A co najgorsze, całe strażackie zbroy byli na terenie palącej się fabryki.

Że nie zhajcowało się całe miasto, tylko piekarnia Grendy co obok była, to piecice Matki Boskiej Ostrobramskiej możem



zawdzięczać, co ją do obrony przed pożarami baronowa po pierwszej wojnie do Supraśla sprowadziła.

Jeszcze się fabryka paliła, pamiętam, do matki przyszedł jej koleżanka i mówił:

- Jutro Niemcy mają klasztor zerwać, miny do środka wnoszą.

- Może zebrać się, iść do Niemców i dać w łapę?

- Tam już przed nami Backieli byli i dali. Te same co sowieci dawali. Zerwano klasztor, żeby po wojnie kościoła tam nie zrobili.

Przeszła noc, na rano ziemia zadygała. Nawet nie pamiętam, czy huk słyszeli. Od klasztoru chmura ryżego pyłu do nieba podniosła się. Polecieli patrzeć, ale widać klasztor stoi. Tylko coś w nim nie tak, czegoś brak.

- O Boże! - chłodno mnie zrobiło się, jakby zimowo poro lodowego sopła połknął. Za klasztorem niebo niebieskie, ale wszystkie pięć wieży znikły. Nie ma.

Na wieczór, jak Niemcy odeszli, polecieli my na dziedziniec, a tam z góry gruzu tylko słupy sterczą, a z ich święte wniebowstąpienia doznają. Taka piękna rzecz. Boże drogi... a jak ślicznie było w środku. Zniszczyli i odeszli do swoich Hamburgów, Lipsków i Hajdebergów.

Odeszli, a nas na kupie gruzu zostawili.

KOŁO CZASU



O Boże! Znowusz so!

Gdzieś koło południa zza lasa dało się słyszeć przódzi pomruk, aż przeszedł w dobrze znano za pierwszego sowieta piosenke, od której niejednemu Polaku mrówki po krzyżach chodzą.

*Wychadziła na bierieg Katiusza,
na wysokij biereg na krutoj...*

- Znowusz ich słysząc - odezwała się przy płicie mama - znowusz so gołodupcy... niechaj ich zaraza podusi.

Szli od Cieliczanki i nieśli nam swoje narzędzia swobody - *sierzpa, młota i nagana*. Znowusz z Supraśla czerci wygnali szatana.

Ruskie czudiesa prostyje

Ruskie frontem zakorkowali się pod Łomżo. A tu czyścili wioski z żywności, jako ludzi uchowali przed Niemcami.

Front tylko co się przewalił, odraz sowietci na wioski danine nałożyli. Na każdą chatę po ogonie, cielak, świnia... co tam kto miał. W Studziankach wywiesili cytałech i kazali zebrać wszystko na jutro. Ale skąd ta „studziańska słota” miała brać, toż to wioska biedna jak kościelna mysza. Choć jest ich tam jak ziarek piasku... czy jakby deszcz padał. Nie zebrali nic, bo i po prawdzie nic nie chcieli dać.

Sowietu nie ma rzeczy niemożliwych. Za jakiś czas zajeżdżają samochody na środek wioski. Wołają ludzi i sołtysa. Ale przyszedł tylko sołtys, ręce rozłożył i mówi:

- Nie ma. Nic nie ma, wszystko faszyści pobrali.

- *Nie ma gawarisz? Pasmotrim. Wy narod wierajuszczy i wam nużny czudiesa?*

Żołnierze rozsypali się po wiosce, łapali chłopaków i ładowali na ciężarówkę. No i zare zleciała się cała wioska. So-

wiet wlaż na szoferke i tołkuje.

- *Wam prikazano skolka nada addać? Prikazano. Gdzie że skatina? Dumajecie szto eta szutki? Szutki akończyliś! Nu tak ja z etimi... - tu ręką pokazał młodych studziańców na samochodzie - druguju szutku zdzielaju. Pawiezu ich wsiech pod Łomżu, gdzie gałodnyje soldaty ždiot piszczi i pakazu kto winowat.*

A znajete szto możet zdielat' gałodien sałdat? Soldat katorij za was... swołoczi!... proliwajet sierdecznuju swaju krow?!'

W dwie godziny, co do ogona sowiet świnie i cielaki miał na samochodach. Studziańcy na drugie wioski po kabany jeździli.

- *Ot i ruskije czudiesa! Prostyje.*

Mądry Polak po szkodzie

Jak kto przy ojcu powiedział: „mądry Polak po szkodzie” - to tatko zare dodawał - „a Niemiec po piwie”.

Popukali jeszcze trochu z działka przeciwlotniczego do ruskich, co do zerwanego mosta doszli od Krynek, i chodu.

Nasze z AK w ramach akcji „Burza” zameldowali się sowieckiemu dowódcy, że są gotowi do walki z Niemcami. Ten kazał im broń zdać i póki co mosta odbudować.

Sowiecka wdzięczność, jak ruska dusza, nikt jej nie rozumie. W nagrodę za pomoc, pół setce chłopców, rok wczasów na białych niedźwiedziach w Ostaszkowie fundneli.

Tym razem dla supraskich Bóg był łaskaw i po roku prawie wszystkie wrócili się do domu. Ale dom był ciemny, jakiś nie ten, zamaryły. enkawude zastąpiło ube, a te dalej brali noco z domów i przesłuchiwali, zadając pytania w jakimś dziwnym polskim języku. Kto bystrzejszy uciekał na ziemie odzyskane, żeb się przytusić i najgorsze przeczekać. Po latach wracali z Rawicza, z Wronek chłopcy chore na płuca, z

odbitymi nerkami, rozwalono wątrobo... wracali umierać w domu.

Z pierza tylko sie wszy i mendy lęgno

W mieście wojsko sowieckie przywitała podziemna władza miejska z burmistrzem Normontowiczem.

Na jutro z lasu wyszła sowiecka partyzantka, ale chwała Bogu, nie zatrzymali sie w Supraślu, tylko poszli na Białystok.

Przeszło pare dni sierpnia, znowusz z lasu wychodzo partyzanci... dziewięć musi. Prowadzi ich Paszkiewicz, sowiecki oficer, co za Niemca robił w fabryce i nikt jego nie wydał, nasze chłopcy hada chronili. Drugi był Dańczyk, syn właściciela tartaku, i jakiś młody Żyd i Żydówka, co w trzydziestym dziewiątym z Warszawy do Supraśla uciekli i dzięki ludzkiej dobroci uchowali sie. No i paru miejscowych Rusinów... takie czort wie co.

Samo staneli my rodzinnie przed chato, do zdjęcia w czwarto rocznice ślubu szwagra Czeška, a tu naszo ulico ido partyzanty. *Krasnyje lienty* jak w 1939 roku ponakładali... na przodzie Wróblewski, co przed wojno wózkem z lodami jeździł, czerwono szmate niesie przyszpilono gwózdkami do obstruganej chwojki.

- Popatrz sie, Kaźmierz - szwagier w śmiech - popatrz sie, sukinsyn z płota wsype zwędził i pod złodziejskm sztandarem bedo społeczno sprawiedliwość zaprowadzać.

- Prawidłowo, że wsype za sztandar majo. Z czego sie szwagier wszy i mendy lęgno, aaa? Z pierza... szwagier, z pierza. Odraz widać, co nas jutro czeka.

- Nie daj Bóg z Iwana pana, bedzie gorszy od szatana - szepnela przestraszona Czeškowa, przeżegnała sie i myknela do chaty.

*Poznać pana po cholewce
socjaliste po polewce*

Zaśpiewał szwagier Czesiek na całe gardło.

*Aptekarza po zapachu,
komuniste po...*

- Kaźmierz, jak to dalej szło? Po czym poznać komuniste?

- Nie... powinno być... *komuniste po zapachu* - wyprostował Henio. - Oooo, mam. Aptekarza poznać po fartuchu. I zaśpiewał:

*Aptekarza po fartuchu
Komuniste po zapachu*

- Coś sie kiepsko rymuje - zmarszczył czoło Czesiek. -
Było:

komuniste po zaduchu

- A dalej jest...

*Znać ulana po urodzie
Towarzysza czuć po smrodzie*

- Jakość tak. Ale jak dalej? Jak to idzie? Ot zapomniał.

*Kapitalizm czuć po krachu
socjalistów czuć ze strachu.*

- Durne żesz wy! - przerwała literacko dyskusje szwagierka. - Niech kto cyknie, to tak w dupe wam dadzo, że odraz sie dowiedzo kto, co i po co wymyślił... i jak to idzie dalej.

- To wymyślił Szwember. A jego już Niemcy na początku wojny zabrali, to mu tera ruskie mogo w otworek nakukać.

A tymczasem czerwone wyzwolicieli poszli na magistrat i zrobili rewolucje. I tak nieuk został sie za burmistrza w Supraślu. Ale za niedługo, jak przyszli chłopcy spod Nowogródka i staneli tu w lasach, uciek aż do Olsztyna i za staroste tam robił.

Niedługo go chłopcy i tam naszli. Wtedy zwiął do Grodna do córki, co sie z sowietem ciągała, za jego wyszła i wyjechali do rajy.

CZASY TOCZKI



Za swobody... znaczy za drugiego sowieta

Pierwszy dekret nowa władza wydała o „swobodzie”. W lesie rzniesz drewna ile chcesz, ile dasz rade zwieźć do chaty. Kto rano pierszy do lasu zdążył, ten rządził. Rzneli co chcieli i ile chcieli. Drzewa piłowali po sowiecku na wysokości pasa, żeb sie nie schilać. Ojciec nawet jednemu z Ostrowia zdrowo po mordzie nałożył, jak jego na takiej robocie nadeszed.

Świat sie do góry nogami obrócił. Nastali tera ze wszystkim nowe porządki, nowe czasy. Żeb i człowiek był nowy, żeb władze kochał i ccił, potrzeba jego na nowo wylulać.

Aby w narodzie duch był jeden i jedne ciało, tego samego wszystkie muszo chcieć. A jak majo wiedzieć, czego chco?

Temu władza ludowa po chatach zaprowadziła głośniki przewodowe i od rana do wieczora nawijała ludowi czerwony makaron na uszy. Niektóre dostali dar wiary tak silny, że po dziś dzień wierzo. Ale nie zawsze miłość do władzy bierze sie z wiary.

Dobry dziej i zło dziej

Żeb dawać i być dobrodziejem, trzeba mieć. Żeb mieć trzeba komu wziąć, znaczy zostać złodziejem. Władza raz coś da ludowi, drugi raz da i lud zapomina, że i tak to wszystko jego.

Dawać należy sie po troszeczk, żeb na dłużej starczyło, a i dobrodziejowi i jego kumplom zostało... bo wszystkim i tak nie starczy. Temu tak wielu kolegowoło z władzo.

Nastali czasy „kołchoźnika” i „toczki”

I tak nastali czasy nowe, czasy „kołchoźnika”, albo jak komu lepiej z ruska podchodzi, czasy „toczki”. Na początku nawet lud był zadowolony... bo kto nie lubi co daremnie dostać?

W czasy „kołchoźnika” i „toczki” w Supraślu i po wioskach odprawiali się rozmaite komedie. Tu na Brzozówce jedna miała matkę, strasznie żywiuszczo staruszkę, tako ciekawsko wszystkiego... wszędzie swojo kociube sadziła.

Samo im zaciagnęli „kołchoźnika”, a córce trzeba było z chaty wyjść. Znajac matki zwyczaję prosi staro:

- Mama! Niechaj mnie tylko tamej pazurów nie sadzi, bo co popsuje.

- Pelcia, a czego mnie tam szukać? Jaż nie dzieciulko.

- I mnie się widzi, że mama szukać tam nie ma czego.

Córka tylko za próg... stara za taboretke. Przytaszczyła spod plity, wtarabaniła się na jo, palca wsadziła i wolniutko odchyła od ściany... żeb móc zaglądnąć. Ciekawo jej, kto tam w środku tak pięknie gra? Szturnęła niechcąc wtyczkę i ta wypadła z gniazdko. Naraz w chacie cicho zrobiło się. Stara odraz poznała, że to jej robota. Siadła na pokuci i siedzi jak mysza pod miotło.

- Jak tak cicho - myśli - to Pelcia pozna się, że ruszała. Co mnie robić? Co mnie robić? Śpiewać. Tak, śpiewać. Ale co? Co śpiewać? Cokolwiek.

I zaczęła:

*Wyszła, wyszła dusza z ciała,
Na zielonej łące siadła...*

Jakraz wraca córka. Stanęła we drzwiach, patrzy się, słucha... Jakie лихо? Matka pod „kołchoźnikiem” na taboretce siedzi i pogrzebowe piosenke śpiewa. Umar kto po sąsiedzku czy jak? Może czemergiesu napiła się? Zaglądnęła do kredensa... nic... flaszeczka samogonki stoi nie napoczęta.

Spójrzała po chacie... Nic. Tylko stara coraz głośniej i żałośniej żałobno piosenke ciągnie...

*Na zielonej łące siadła
Gorzko łzo się oblewała
I do Pana poleciała...*

- Aaa - córka kopnęła się w łeb - „toczka” nie gra.

- Ruszała mama „toczke”?

- Oj, zare ruszała. Trochu tycnęła...

- Tycnęła? Trochu? Taż mówiła, prosiła, tołkowała... wszystko darem. Czego tak mnie mama naprzeciw robi? Czego tak mnie dręczy? O co by jo nie poprosić... na to samo zrobi. Pytam się, jakie choroby mama ruszała? Nie mówiła jej, że pazurów tam nie sadziła? I co? Popsuła!

- Pelcia, ja tak tylko ciut, ciut zaglądnęła, a one się przelewały, wzięły i uciekły. Oj, nie gryź się... weźmiem pastkę na myszy, słoninke, nazad ich połapiem i znowusz bedo grali.

Dobrechała się sobaka

Jeszcze lepsza komedia wyszła po sąsiedzku, w Studziankach. Założyli babie „toczke”. Ta na koniec roboty, pod kiepsko barbeluche, byle jako zakąskę majstrom na stół dała.

To te jej hołoblowe wypiwając ustawili głośnik na cało pare i nie pokazali, jak ściszyć. Trochu może i przygłośno, ale fajnie gra... Gdzie baba się nie powróci wszędzie „toczke” słyhać. Pierszo nawet babie było miło, pójdzie do sklepiska, na podwórek, do chlewa, wszędzie słyhać jak pięknie grajo. I w stodole grajo, i w oborze - grajo, do komory pójdzie - grajo, na warzywnik ziele pleć - grajo, aż robić rażno.

Weźmie baba rezhini po siano iść - grajo, świniom ziele sieka - grajo. Wieczorem spać zbiera się... a tu... żeb z ich kieszki ciagnęli się - grajo!

Baba narobiła się w dzień, ubiła do obucha, na drugi bok

sie pod pierzyno wraca, usnąć ni jak nie da rady... grajo. Oko tylko zapluszczy... nie ma zmiłuj sie... grajo. Aż jo lichoratka trzęsie.

Na ranku ledwie trochu babie udało sie przysnąć, w „toczce” kogut bleje na cało chate wesoło:

- Ku ku ry ku!

Do pracy czas czarnulko wstań do pracy czas.

Wesoły budzi sie nasz kraj witając brzask.

- Ku ku ry ku! - pomaga jemu prawdziwy kogut z podwórza. Zare po sąsiedzku i drugie piejo. Odraz cała wioska na prostych nogach chodzi i kto czym ma w ptaszke rzuca.

Na drugo noc psy sie dołączyli... wyjo do miesiąca. Wyleciała baba z kruczkiem w ręce i dawaj suke lać, ta ogon podtuliwszy skryła sie w budzie. Ale co? Nie polecie baba z kociubo po sąsiadach cudze psy łostożyć. Wyjo hady na całe Studzianki.

Tak zeszed tydzień tego grania, po im drugi, na trzeci cało rodzino wynieśli sie z chaty w stodole nocować. Do domu, jakby w im straszło, bali sie zachodzić.

Piątek - to taki dzień, że nie tylko mięsa sie nie je, ale i grubym słowem mówić sie nie godzi. W piątek baba nieprzytomna w letniej kuchni gotuje świniom przy plicie. Wszystko jej z rąc leci. Niechcąc, zamiast do wiadra - na kota, co obok leżał, ziemniaki odcedziła. Na koniec sama ze sobo gada.

- A długo żesz ty jeszcze obesrańcu, zarazo jedna, brechać mnie tu bedziesz? Trasca na twój prancawaty łeb... że nie najdzie sie jaki, co tobie gębe zatknie?

Nic już robić nie da rady, stanęła na kuchni, lzy jej sie puścili, złapała rękami za głowa i... jak nie zacznie joby sadzić... na koniec zlorzeczy:

- Żeb ty zdychała przeklęta oka nie zapluszczywszy! Żeb jutra nie doczekała... cholera ty! Żeb na górę wyszła i słonka nie baczyła! Żeb cie ogni piekielne piekli, pomór duszył, a za-

raza dobiła! Żeb cie małanka spaliła! Żeb cie piorun tras!

Samo sie przytrafiło, że burza na dworzu była i piorun w chate lasnoł. Chałupa stoi w ogniu, goreje. Jedne sąsiadki z chlebem świętej Agaty leco, drugie święte obrazy dookoła pożaru obnoszo. A baba rozkraczywszy sie w bramce stoi i pod boki sie wparłszy krzyczy:

- Aha? Aha? Dobrechałaś? Ooo, tobie jak! Dobrechałaś, sobaka!

Na świerszcza najlepszy kapkan

Zaraz też zaczęli radyjka produkować. Na sam przód „Mazury” w drzewnianych skrzynkach, potem w jebonicie „Pionier”. I odraz nastęła moda Wolnej Europy słuchać.

W UB też zaprowadzili mode... śledzić, łapać, do ciupy sadzić tych, co słuchajo. Zaczęło być jak u sowieta... niechaj trzech sie zejdzie, zare czwarty donos napisze. Jak w okupacje, ludzie okna kocami zawieszali. Bo swołocze pod oknami słuchali, kto uszy do Wolnej Europy sadzi i cykali na UB. Ledwo co dało sie przez szum zagłuszania usłyszeć. Od tego cykania i zagłuszania po dziś dzień naród jak kłębek nerwów chodzi.

W ten wieczór tak terkotali, że ze szwagrem Cześkiem całkiem nie mogli sie rozebrać, co w radyjku mówio.

- Musi coś ważnego podajo, bo sucze syny dostali szalenizny z tym burczeniem.

- Niechaj w cholere to wyłączo, bo nie idzie znieść! - zawołała Cześkowa kobieta z paradnego pokoja. Szwagier gałke przekreślił i zrobiło sie naraz cichjutko, tylko osikowe polana w pieczce strzelali i woda pod czajnikiem buzowała jak szalona.

- Zare Kaźmierz arbaty napijem sie - zatar ręce Czesiek - i musi po kilonku zrobim.

A tu za oknem coś - trzaśśś! I wrzask jakby żywcem czerci ze skóry kogo łupili.

- Co to, Czešku? Coś sie komu stało! Pójdziem zobaczyć, kto tak ryczy? Odziewaj kapote, bo na dworzu deszcz sypie.

- Nic sie nie stało. Musi ponapiwany Chomik swojo babe łupcuje - kręcił wyraźnie szwagier i okazywał niechęć żeb wyjść.

- Co ty? To musi baba łupi Chomika... bo to chłop sie drze. Jeszcze ja nie słyszał, żeb kto tak wył.

- Oj, szwagier... no... chodzo te no... cykaczy i gumowe uszy pod oknami nastawiajo. To ja nastawił kapkana... pod każde okno .

- Co?

- Toż mówie... oklepce. Nie wie? No, szczęki, co kiedyś my na lisy i borsuki stawili. Zapomniał sam?

- Coooo? Może i tego pod okno dał, co jego wuj Aleksander w Borkach na dziki stawil?

- Tego też - przyznał cichjutko Czesiek. - I musi w jego cykacz sie popad, bo had wiszczy tam, gdzie ja jego zamontował.

- Boże! W im sprężyna taka, że noge obciąć może. Kości jak słome łamie. Ty feflo cholerna, ty durniu żesz jeden! Ten kapkan taki mocny, że człowieka weźmie. No, napytał ty sobie biedy. Niech cie Bóg ma w opiece. Tak człowieka urządzić...

- Co ty, Kaźmierz? To nie człowiek, to cykacz.

- Ścichni, durniu!

Wyskoczyli my z sieni na podwórek. I aż zatkało nas, jak osobe na zadku siedząco między malwami rozpoznali. Pomyślał by kto? Sąsiad... zdawało sie taki przyzwoity człowiek. Księdza pod baldachimem w Boże Ciało prowadzi... on cykaczem?

- Jezu! Kaźmierz, czego wy ponastawiali w ogródku. Jezu,



Jezu, musi na amen noge stracił. Już jej ze wszystkim nic a nic nie czuje - jęczał cykacz.

- Eeee tam, zare noge stracił... W gumakach jest... - Czesiek próbuje się tłumaczyć.

- Zdejmi mnie zare cholerniku tego kapkana! Niechaj szczęki odciagno, bo sam nie uradze... Skąd wy takie żelaza dostali, to musi na ruskie tanki.

- A czego pod cudze okno polaz? Swojego nie ma? Słuchać zachciało się? - Czesiek swoje śledztwo zaczyna prowadzić.

- Pod jakie okno, pod jakie okno? Czego słuchać? Durniu żesz ty, zajobie jeden! A żeb tobie kiszke wyparło... Rosówki na miętusa poszed... bladź, zbierać. W deszcz dobrze na grządki z warzywem wychodzo. Jutro na Biebrze pod Osowiec na noc mieli jechać. I już pojechał. - Tu spod gumowanej kapoty sąsiad dostał litrowego weka pełnego mokrej trawy i długich, grubych jak palec robaków.

Prawda, rosówki po ciemku na rose wychodzo. Dobre so na miętusa, węgorka, na leszcza, karpia i na dużego pstrąga.

- A co ja sukinsynu tłumacze? Kaźmierz, zabierz mnie sprzed oczów tego mendzielca, bo morde durniu skuje i z ryja kalafiora zrobie!

Miał chłop szczęście, że padało i w gumofilcach po robaki wyszed. Chwała Panu Bogu nogi przez to nie stracił, tylko kulase trochu w gipsie pociągał. A my na ten raz niestety nie mieli dowodu, który to za świerszcza na naszej ulicy robi i na UB udaje.

Szczęście musi nadejść

Mineło pare dni i doczekali my się to radosno muzykę usłyszeć. Ludzie z chat powylatali. Cykacz dar morde na cało okolice i choć to późny wieczór był, zeszła się cała ulica jego patrzeć.

Nikogo też nie dziwiło, jak się pokazało, kto w szczęki popad. Wszystkie dawno wiedzieli, kto za gumowe ucho robi, tyle że póki co nikt jego na tej robocie nie chwycił. Szczęściem skurczybyk nie w szwagra malwach się popad, a u sąsiada, tego co raniej rosówki u Cześka pod oknem zbierał.

Na jutro z Dworzyska szczęki na dzika od teścia przywioz i pod swoim oknem zastosował. Miał potem sprawę za kłusownictwo. A ofiare kłusownictwa ludzie od tych por nazwali „Kolczyk”, że uwieszony do gumowego ucha. Od tych por nikt „cykacz” ręki nie podał, no bo i jak takiemu podać? Tu nie mog już robić za „świerszcza”, to się wynios na ziemię odzyskane. Ciekawo co za prynuka w ludziach jest, że zawsze znajdzie się taki co „cyka”, nawet choć nikt jego o to nie prosi?

Jak Dzidek Stalina w gębę nałożył

Mieli i my w Supraślu swojego Stalina. Samo się od nas sowiety wynieśli i Wissarionowicz Dżugaszwili, co przed domem Lewitta stał, został po ich nam na wieczno pamiątkę. Żeb pamiętali, że wrócić się zawsze mogą... jak ich najdzie ochota.

Zawlekli supraskie towarzysze jego na korytarz biura PSS-u nad masarnio. Widać w Domie Ludowym, gdzie przed wojno stało popiersie Piłskiego, postawić nie mieli odwagi.

Tak wypadło, że tego samego dnia Ludowe Wojsko Polskie zapotrzebowało Dzidka w kamazji i dało daremny bilet kolejowy. W takich razach poborowy z żalości ma prawo ponapiwać się do usioru i Dzidek się ponapiwał. Pił z kolegami, bo ich jemu było żal, a kolegi pili, bo im żal było Dzidka. I im więc pili za dwa żali, tym trzeci żal robił się coraz większy. Aż zrobił się taki duży, że Dzidek winnego musiał znaleźć... Musiał znaleźć i po mordzie jemu nałożyć... inaczej by pęk.

U ich to rodzinne. Dziadek Dzikka był z Borek orelem i wrednym bitusznikiem. Spławiał Supraślanko tratwy do Tykocina i jak wracał do chaty, musiał się w karczmie na Psia-czej Górcie ponapiwać. Jak już się ponapiwał, szukał zaczopki. Rozpuści oborcy - sznurówki w łyuczanych łapciach... Rzuci je na podłogę, gdzie jak kto idzie... musi nastąpić. A jak kto nastąpi, jest przyczyna dać po gębie.

W pijanym widzie przydało się Dzikku, że główny sprawca jego nieszczęść jest tu, pod ręką i tylko co jego przywieźli. Stoi sobie drań, had, na pięterku nad masarnią i się Dzikku uraga.

A pod masarnią, zawsze wieczorną porą, okutany w stary żołnierski szynel chrapał stróż tak głośno, że gacki z nieba spadali. Dzikdek weszedł schodami na górę, stanął po przeciwku „ojca narodów” i spojrzeli sobie oba cwaj głęboko w oczy.

Dzikdu się przydało, że Stalin patrzy na jego jak na padło, nytkiego hada i że zare splunie z ohydy na podłogę. Zaczęło się w im zbierać, zbierać, zbierać, aż podeszło pod grdykę i wzięło się duszyć.

- No, dam ja tobie - cedził przez zęby Dzikdek - dam tera tobie skurczybyku za tatusia i mamusię, za linie Kierzona, za Armie Czerwono i Ludowe Wojsko Polskie! Dam ja tobie za dwa lata darem zabranego mnie życia!

Stalin nic, łype przekrzywił i miny do jego robi. Dzikdek przełknął ślinę raz, drugi...

- O żesz skurczybyku, jeszcze ze mnie szutki robić będziesz?

Jak nie laśnie Stalina w gębę, tylko zakolebał się na słupku. Ulżyło. Jak nie zaprawi z drugiej strony. Ulżyło. Jak nie przyleje trzeci raz w to wąsato gębę... i czwarty, i piąty. Aż

gipsowy bałwan z postumenta zleciał na ziemię. Dzikdek padł obok znużony głębokim snem.

W to porę prezes spółdzielni coś tam miał w biurze z Hańdzio, że do późna robili. Usłyszał raban, wyglądnoł na korytarz i naszed Dzikka nie tyle na patriotycznej robocie, ile śpiącego w objęciach Stalina. Spojrzał w prawo, w lewo... czy kto nie widzi... i chodu na podwórzu. Mało spodni nie zgubił... drzwi nie zakluczył. Hańdzia za im bosiakom z pantoflami w rękach... Szczęściem nikogo nie było. Stróż zakutany w szynel chrapał dalej. Zmachany Dzikdek spał ze Stalinem do rana.

Na ranku przecknoł się, podniosł głowę... i zobaczył straszno rzecz. Nos w nos patrzył się na jego jak na krowie łajno albo hadko, rozdeptano glizde, „ojciec narodów”.

Może nie nos w nos, a oko w oko, bo nos Stalina odpadł i białeł na pierwszym stopniu schodów. Dzikdek stracił bojowego ducha i cichjutko zwiesiwszy głowę posunął na przystanek. Wsiadł do autobusa i na kacu pojechał do jednostki w Suwałkach. Cała droga nie odchodziła od jego myśli: czy aby kto nie widział, jak Stalin pilnował jego snów?

Mog Panu Bogu dziękować, że się jaki „cykacz” nie trafił, kiedy to gipsowo bałde w morde lał. Bzyczał by nie w Suwałkach na świeżym powietrzu, a na Śląsku w kopalnianych batalionach.

Swoje odsłużył, wrócił się i co jemu wypić przyszło, szedł na pięterko do PSS-u za krzywdy wszystkich Polaków w gębę Stalina łostożyć.

Ale tera, kiedy Stalin zmarł, kalapitus... gdzie Dzikdek najdzie drugiego takiego, co w gębę weźmie z uśmiechem i nie odda?

Supraski Dżugaszwili stał na schodach biura PSS-u nad masarnią potąd, pokąd prawdziwego wyrodka czerci w Moskwie do zdania rachunków nie wezwali.

Po jego śmierci odetchneli wszystkie, nawet towarzysze, i zaraz zaczęli nowe po staremu robić... widać inaczej nie umieją. Nasz Heniutek samo w gminie z furo i koniem szarwaryk odrabiał. Kazali dla jego i dla Dzidka, co w firmie robił, Stalina znad sklepu mięsnego zabrać i gdzie do jakiej jamy won wygruzić.

Zemsta słabego

Wiem tego wisielca na Zajme utopić - opowiada Heniutek - a Dzidku sie na wspominki z wojska zebrało.

- Mieli my w kompanii Kobeszke - mówi Dzidek - tako mendowszke, nieudacznika... że czego sie nie tknie, to schrzani. I przez to cierpieli wszystkie i dogryzali jemu. Miał najgorszo menażke, najgorszy sort mundurowy, najgorsze łóżko, szafke i zawsze najgorszo robote, a na to samo miał wiecznie zadowolono gębe.

Kiedys na poligonie pognali jego do kuchni, żeb termos z zupo przynios. Chłopaki... siedzim sobie, palim, a Kobeszko żarcie nam niesie. Od słowa do słowa uradzili przestać dla jego dogryzać i dać trochu pożycz, bo po prawdzie to nie najgorszy chłop.

Akurat samo nadeszed z zupo i plutonowy, co jego najwienc kulbaczył, mówi:

- Siądzie szeregowy - plutonowy klepnoł pare razy trawe koło siebie - coś dla jego powiemy.

- Postoje - powiedział Kobeszko wietrzac kolejny podstęp.

- A no to jechał cie sęk, stój. Pogadali my z chłopcami, pogadali i postanowili, że od dziś wienc nie będziem cie nękać, bo ty w końcu niezły chłop.

- To dobrze - ucieszył sie Kobeszko - za to ja nie bede więc wam szczać do zupy.

Fura sie telepie - opowiada Henio - Dzidek opowiada o

wojsku, a mnie przypomniało sie, jak ja w okupacje Niemcom wode do mycia sikami zmiećzał.

Ale zare mnie śmiech odeszed... bo czy to sprawiedliwe, żeb had, wyrodek, normalno śmiercio zeszed z tego świata? Jak tak być może, że nikt Herodu w cicho godzinie rachunku pod oczy nie podetkał? Żeb sobie spokojnie umar i już? Tyle zła na świat sprowadził, tyle narodów nagubił i nic... I tera my jego do jamy zawieziem i koniec?

Widać i Dzidek o tym samym myślał, bo coraz obracał sie i grubszym końcem bata przez łeb Stalina łostożył. Łał jego, pokąd sie Stalinu dekielek odprawił. No... pokąd nie odpad czubek głowy. Tyle co Żyd jarmułko przykrywa. Zajrzał ja do środka, a tam nic, pusty.

- Dzidek, ty widział? Nic w im nie ma. Spójrzy, pusty had. A tak sie jego wszystkie bali, nawet gipsianego. A on żesz pusty czerup.

- Prrrrrr. - Dzidek zatrzymał konia, lejcy o kłonicie zakrećił, zlaz z fury i gada. - Pusty mówisz? No to ja zare mu dobawie... że bedzie pełny.

Powiedział, zdjoł Stalina, zanos w krzaki, spuścił portki i napełnił gipsowo głowe sprawiedliwe, aż po kraj dziury. Odbitego dekła na swoje miejsce nazad przyprawił i powieźli hada na Zajme utopić... jak kociaka. Tam pultneli we wode i koniec.

- Odraz mnie polekczelo - odetchnał Dzidek. - Ciekawo, od tego, że sie wypróżnił Stalinu rozumu dobawiając, czy że sie jego bać przestał?

Siądli my na fure wracać. Jedziem. Aż Dzidek pomarkotniał, stuka końcem bicia w gnojawki i mówi:

- Wie co? Tak naprawde Stalin nie miał ze mno letkiego zycia... wienc powiem, nawet kiepsko miał. Może to źle, że my jego we wode pultneli? Nie bedzie tera komu po mordzie dać, jak mnie potrzeba najdzie.

Choć niesłuszna... ale sprawiedliwość

Wiesz ty Jasia kto w Supraślu ludowo władze zaprowadzał? - spytał ja mojo, przez okno na całkiem zwiędłe w ogródku pomidory spójrzawszy.

Na świecie taki gorąc, że moja po chacie w samej halce lata. Prawda, niepiękny to dziś widok. Nie wiedzieć czego, mnie sie kawalerskie czasy przypomniałi. Westchnoł ja, przed oczami mojo mając, kiedy jeszcze zielono bulwo... nie podwiedło natko była.

- Kto władze w Supraślu zaprowadzał? - odezwała sie Jasia z wychodka, gdzie w to duchote chłodu zaznawała. Siadła se na klapie i wiśni dryluje. Wczoraj Chomika kobiecie pogotowie wzięło, bo sie w piwnicy do zapalenia płuc studziła. - Kto zaprowadzał?...Musi niekiepski zajob. Żeb po śmierci z czerwonego piekła nie wyglądnął.

- To tak? Ślubnemu czerwonego piekła życzy? A wie... że nie byłoby kiepsko, zawsze w im czegoś zabraknie. A to rozpałke podiwano, do pieca zapomno podrzucić, opał na drugo wioske sprzedadzo... żal tylko, że od wojny piekła nie ma.

- Czego nie ma?

- Piekła. To nie wie, że całe smołe z piekła na szose wywieźli, a czerci poszli do milicji?

- Nie plec stary, ty w ten czas podszparkiem był.

- Ale wyrośniętym. Pamięta, jak chłopcy z lasu na środku ulicy magistrackie papiery palili?

- No, popalili i dało to co? I tak kontygenta musieli zdać. Niektóre nawet dwa razy zdali. Ot, namądrowali rozumaki jedne. A co, może ty w to palcy sadził?

- Niby nic. Ale... w pare dni po tym ognisku z magistrackich papierów szed koło ogrodów Zacherta. Gorąc wtedy... spiekota, duchota była taka jak dziś. Patrze sie, siedzo w od-

kosie urzędniki w czarnych garniturach, spotniałe, czerwone na gębach i sie teczkami wachlujo. Miny u ich... jakby bogato ciotke grzebali i nie znali, gdzie zaraza pieniędzy schowała.

Poznaje ja jednego... wojewoda Sztachelski. Pare dni przeszło, jak ja jemu pomagał pod Cieliczanko samochoda z piasku wypychać. I on mnie poznał. Przywitał sie i prawie płacze, że w Supraślu naród oporny i nie dajo rady władze ludowo nam zaprowadzić. Zaczeli mnie podpytywać, kto tu taki bardziej obrotny.

- Ciebie sie radzili? - zdziwiła sie Jasia. - Oooo, to prawdziwie ich bieda przycisnęła.

- Tobie sie zdaje, że to proste władze robić? Przez wojne co godniejsze supraślaki wygineli. Młodziaków do Ostaszkowa wyzwolicieli powieźli, jedne brykneli na ziemie odzyskane, drugie do lasa. Mało kto został sie, tylko ledwo co podorośle siurki.

Mówie co bądź dla jego, żeb chłopą pocieszyć w ten gorąc.

- Dał Pan Bóg paru porządnym końca wojny doczekać. Niechaj zbioro ich wszystkich do kupy w Domie Ludowym.

- Ale jak ich znaleźć i pozbierać?

- Nie wie? Po nabożeństwie w kościele, bo tam przyzwoite ludzie chodzo. A kościół zare koło Domu Ludowego.

Wziół posłuchał i na niedziele zwołali zebranie. Samo ja sie z Wasilkowa wrócił, a tu przylatajo, że mnie burmistrzem Supraśla zrobili. Kurcze blade, ani ja tam laż, ani tam sie parł. A nu ich z sowiecko demokracjo. Nikt na zebranie nie poszed, a że ja sie wojewodzie spodobał... wybrali mnie burmistrzem... demokratycznie. Za trzy dni znowusz zrobili zebranie. Poszed ja na je i zrzek sie honoru. Ale pokąd nowego zebrania, trzy dni burmistrzował siurkiem będąc... no, trochu porządził.

Jak nie chcąc swatem się został

Jak drugi dzień burmistrzem był... zutyka mnie sąsiad, stary Jurczuk z synowo. Wąsy u jego wiszo, a ona aże się yka od płaczu.

- Co za bieda się stała? - pytam.

- Kaziutek... sąsiad, cholera na jego łeb, krowe nam podiwanił, a druga tylko co się wycieliła i mleka nie ma dla dzieci. Had zapiera się, że nie... ale ja u jego w stodole na żerdzi skórę Żuczki widział.

- Idzie sąsiad do chaty, coś poradzim.

- Łatwo powiedzieć... poradzim. A co tu poradzisz? Szczęściem miał jeszcze kolegi. Obgadał dwóch rośłych takich, żeb założyli jake siake mundury. Zgodzili się, w ręce wzięli pepeszki, gęby sadzo usmolili i poszli my wieczorowo poro do łobuza.

Przódzi zachodzim do stodoły... A jak? Prawda, świeża skórka wisi na żerdzi w zasieku. Przyświecili latarko... brązowa z białym. Przyszło mnie do głowy - kto bązowo krowe nazwa Żuczka? Ale musi zna swojo krowe i jak mówi, że to skórka Żuczki, to Żuczki. Idziem do chaty. Kopniakiem haczka w drzwiach wysadzili, wlecieli do kuchni..., nikogo. Do pokoja... a niech ciebie... trafili. Had siedzi goły na skraju łóżka, a jakaś baba mykneła pod kołdre i łeb nakryła... tylko damskie łachy na krześle zostali.

Matematyczny wyrok

Ale nam co? Ani my jej ojcem, ani matko... o jego się rozchodziło. Wyciągneli chłopcy hada za łeb na izbe. Szczęka jemu lata, rękami interes zakrywa. Musi jego interes niekiepski albo ręce przykrótkie, bo całego zakryć nie dają rady.

- Paczta chłopcy, goło dupo nas wita.

- I dobra, portek zzuwać nie musi.

Pytam się golasa:

- Wiele krowa miała nóg złodzieju, co jej skórka w stodole wisi?

- Czte... te, czte... te... tery - wyykał had.

- Wiele jej lat było, złodzieju?

- Pie... pięć musi.

- Pięć razy cztery ile będzie, złodzieju?

- Dwaaa... dziećcia.

- Żeb wizyte zapamiętał, dodamy dwa rogi złodzieju, dwa uszy i ogona. Razem będzie dwadzieścia i pięć.

Dali chłopcy dwadzieścia pięć wyciory na goły zad. Wzięli z szafy nowy garnitur z angielskiej wełny, nowe oficerskie buty i elegancki półkożuszek. Na odchodne któryś z chłopaków, dla hecy, pokazując pepeszko na dygająco ze strachu pod kołdro babe, powiedział:

- A z jo... w trzy niedzieli masz się uwinąć!

- Panowie... jak? Co uwinąć?

- Ożenić, łachu. Łajdactwa nie popuścim. Za miesiąc wrócim się tu... a wtedy lepiej żeb ty od księdza jaki cytałech miał.

Jak oddać to co d... wzięła

Pozajutro chłopcy całe te klamoty na Siennym Rynku w Białymstoku sprzedali i pieniądze oddali kobiecie, żeb sobie nowo krowe kupiła.

Przeszed jakoś tak z rok. Zutykam pod „Jarzębinko” starego Jurczuka. Ucieszył się mnie widząc i wódkę stawić zaprasza.

- Oj, panie burmistrzu! Pan choć młody, ale mądry człowiek. Przez jego z biedy do dostatku my przyszli. Synowa ta-

ko dobro krowe kupić trafiła... W tydzień nam ocielła się. I naszo Żuczke na jutro my znaleźli. Tym sposobem tera pięć krów w oborze stoi. O jak... Niech Pan Bóg da samemu zdrowe i wszelko łasko wynadgrodzi. Szkoda, że nie był burmistrzem, takiego dobrego jeszcze my w Supraślu nie mieli.

Durno się zrobiło mnie. Ledwie uciek. Bo tak... pieniędzy oddać możesz i łachy odkupić da się, ale jak nazad odebrać dwadzieścia pięć wyciory na gołe dupe? Przepraszam? A może własno wypiąć? Co wziął, to wziął i tego jemu nie odbierzesz. Ot, co.

A z ożenkiem... biedak takiego fefru dostał, że zare na zapowiedzi dał i kalapitus. W miesiąc było po wszystkim. Ożenił się.

- Kaźmierz! - zawołała moja z klozeta. - Czego ty nigdy nie powiedziałeś mi, że im za swata był? To ty letko rękę masz. Widzi, jak zgodnie ze sobą żyją?

- Pewnie. Bo po dziś dzień się boją, że znowus przyjdziem i jak na odchodne obiecali, dupe wyciorem wyłostozym.

- Co ty powiedziałeś?

- Nic. Mówię, że on nie w czas się na świat przyplątał, no, pechowy jest. A taki co podskoczy, to zawsze nie w takt.

- Prawda... z im tak jest. Pamięta, jak jednym dzikiem całą Supraśl obdzielił?

- Dzikiem? Nie... nie trafiło się słyszeć. On z czego by nie strzelił, to jak siebie by trafił.

- Oj, zapomniał? Tydzień cało ulico śmieli się?

- Musi w ta pora ja nie był w Supraślu.

- Był, był, tylko zapomniał. Już samo, że zwierzyne trafił, za cud mieli.

- Oj, ja był z im w ten czas - odezwał się z pokoja Heniutek - strzelił na Pacifach niekiepskiego dzika. Samo wziął się

cynadra wyrzynać... nadeszed ich na tej robocie gajowy. Nie robił żadne aj waj, tylko kabanę pomog sprawić i wziął połowę. Dobrze i to.

Wiesz swoje dole do chaty. Koło Czerwonego Krzyża wyszli leśne - z lasu wiesz, to nasze wiesz - i oderżnęli z połówki połowę.

Dla spokoju chciał objechać Supraśl. Pod górę Haka napatoczyli się milicjanci i zabrali z połowy połówki pół.

Przed chatą zutkał jego znajomek i za dług wziął z woza pół tego co zostało. O, jak było...

- A myśli, że to koniec? - odezwała się Jasia.

- A co, koty resztkę rozdrapali?

- Nie. Resztki kabaniny, co się dla jego zostali, usmażył, że złości zjad i... i wie co? Dostał trychniny. Nikt, ale to nikt z tych co od jego mięso wzięli... ani gajowy, ani leśne, ani milicjanci, ani znajomek, nikt się nie zaraził... tylko on. I co powie? Czy normalnemu człowiekowi tak może się przygodzić?

- Widać jest na świecie ludzi nie w porę poczęte, sobie na zgryzotę, drugim na naśmieszki.

Jak nie po rusku, to po angijsku, czyli siła prywyczki

Towarzysze po cichjuśku, bez hałasu, chcieli odwołać przewodniczącą MRN. I co w tym dziwne? A bo to pierwszy raz nowo świeczkę na stary lichtarz sadzo? A to, że do tych por na świecznik sadzili po rusku, a tera po angijsku.

W Supraślu odprawiała się sportowa uroczystość. Nie... nie żadne zawody, igrzyska, żaden mecz... W ten dzień w Domie Ludowym działacze z województwa wręczali działaczom i sportowcom supraskim medale i dyplomy

Na scenie stał długi stół nakryty zielonym sukrem... zielone paprotki i niepięknie pachnące prymulki. Wprowadzały nastrój spokoju i przyrodniczego ładu.

Do kompletu mebli mównica... taka świecka ambona. Bardzo ważna, kiedy odprawiały się akademie... takie świeckie msze. Rozpięte na ścianie hasło zaklinało komunistycznie moc: **NIECH SIE ŚWIĘCI I MAJA**. Nie potrafili słowa "święty" zastąpić innym, świeckim. Na prezydium stały dumnie syfony oplecione metalowo siatko z supraskiej rozlewni wody gazowej, brudne jak świńskie ucho. Kto pamięta, jak pierwszy raz obsługiwał syfon... jak nie znając jego diabelskiej mocy obryzgał siebie i sąsiadów?

Syfon w Supraślu ma wymiar polityczny nie w odniesieniu do bąbelków, a do wpływu opakowania na biologiczną kondycję głowy. Trafiło się raz na „pijanym obiedzie” w „Jarzębince”, jakim kończyła się większość narad gminnego komitetu PZPR, że w sporze ideologicznym jeden towarzysz drugiemu wypomniał:

- Ty naszych chłopców z lasu na UB cykał!
- A ty za to był niekiepski słonnik...
- A ty łąził po chatach, ludzi za język ciągał i udawał na UB!
- A ty ciągał się po lesie i walczył z babami o słoninę.

To było ostatnie słowo do draki... po im tylko idzie po mordzie dać. I obrażony dał.

Jak obraziciel wykaraskał się spod rumowiska stoła, krzesła, obrusa i talerków... syfon sam jemu w rękę polaz i rozwalił łeb obrażonemu.

Zare pogotowie i skandal na całe województwo. Jedna strona za sobo miała wojewódzko służbę zdrowia, druga wojewódzki wymiar sprawiedliwości. Sytuacja remisowa... no to wygruzili z roboty jednego i drugiego.

Obok syfonów na prezydiumie stała nowość, socjalistyczny cymes do pogryzania, słone paluszki. Jak pojawili się wtedy, tak zostali do dziś. Choć paskudne, szkodzące, panoszą się wszędzie tam, gdzie trzeba z nudów czymś zająć ręce.

Za prezydiumem tkwili godnie ludzie „z województwa”. Po przeciwku w pierwszym rządzie godnie siedzieli supraskie, między którymi, nieświadom swego losu, ojciec miasta. Po powitaniach, ukłonach, dyganiach, czerwonych goździkach, bardzo zasłużeni działacze skończyli wzajemne maślenie, a jeden poprosił:

- O wręczenie dyplomów poprosimy przewodniczącego MRN w Supraślu.

Z rzędu dla godnych, w aureoli rześzystych braw, uniosły się dwie postaci... Jedna wszystkim znana, a druga... choroba wie, kto i skąd? I ta druga idzie do prezydiuma.

Zdziwione oklaski odraz ścichli, a zasłużony działacz kończąc wyjaśnił durno sytuację:

- Do prezydium prosimy towarzysza... tu wymienione zostało nikomu nieznanego nazwisko. Pozwólcie do nas, towarzyszu. Wybaczcie, że czynimy honory domu, bo to przecież wy tu jesteście gospodarzem Supraśla.

Wszyscy, łącznie z przewodniczącym MRN w Supraślu, pomyśleli: - Musi się przejęczył. - Ale nie, mizerny, nieznanomy człowiek podeszed do prezydiuma, zostawiając w tyle znanego wszystkim przewodniczącego MRN.

Tak to państwowy urzędnik dowiedział się, że już urzędnikiem nie jest... samo pryncypał wygruził jego z roboty... po angijsku.

Słuchając sąsiada zamyśleli my się nad marnością ludzkiego losu. Jak to co tyle warte, w jedno chwile może być nic niewarte.

Heniutek podeszed do okna, spójrzył na podwórek i powiedział:

- Tak to sie trafia... dziś pan, na jutro Jan. Kto by pomyślał? A może nie chcieli jemu zrobić przykrości.

Od plity smażono cybulko zaleciało. Moja świeżynke robi. Samo na patelni dołała wody i zapachi rozmaite poszli po chacie.

O... listkiem bobkowym słyhać... a to słodki majeranek, to cybulka, co lzy albo śline wyciska. Żeb tylko o zielku angielskim nie przepomniała i pieprzu... I soli nie za wiele... żeb nie przesoliła, bo by było żal... Żeb jeszcze do tego dała po chapluczku żytniej przypalanki na miodku gryczanym, cynamonie, muszkatułowej gałce i z goździkami.

No... Letka na spomnienie Jasia dostała z kredensa co trza. Kilonki, karafeczkę, talerki. Chlapneli my po chapluczku. Ciepło łaskawe rozeszło sie po wąpiałach. Niechcąc z kolacji balik sie zrobił.

- Oj, życie, życie... - rozmarzyła sie moja. - Żal tylko, że wszystko tak szybko i durno sie mienia.

- A ty by chciała nie mieniać... śladem za dziadem? Tylko sol w życiu sie nie mienia... i chwała Bogu.

- Kaźmierz, mus świat mieniać. Ale po swojemu. Czy my ciągle musim jak nie po rusku, to po angijsku?

Kaźmierz

Koniec



© Copyright by *Wojciech Załęski*, 2005

Opracowanie graficzne i projekt okładki
Wojciech Załęski

korekta
Teresa Jabłońska

ISBN 83-88097-77-6

Wydawnictwo PRYMAT. Mariusz Śliwowski
Białystok, ul. Zwycięstwa 26C lok. 7
tel. 869 14 87, 0602 766 304
www.prymat.stnet.pl, e-mail: prymat@stnet.pl

